

Powiat



Nr 3-4 (133-134), Marzec-Kwiecień 2012
Rok XII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Na Kaziuczku Niemenczyńskim
Transplantologia – trudny temat
Nikifor – krynicki prymitywista
Pisma, pisemka i... piśmidełka
Jak pan Janek znalazł dom
Dzień uszczęśliwiania bliźniego
Francisco Goya i historia jego najślynniejszego obrazu
Sowieckie lotniskowce

Wieś Tworząca



Europejski Fundusz Rolny na rzecz
Rozwoju Obszarów Wiejskich



PARTNERSTWO
DORZECZCIE SŁUPSKI



Program
Rozwoju
Obszarów
Wiejskich
na lata 2007-2013

„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie.” Publikacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach działania „Małe projekty”, objętego Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 oraz z budżetu Fundacji Partnerstwo Dorzeczcie Słupski, przeznaczonego na wdrażanie Lokalnej Strategii Rozwoju. Biuletyn opracowany w Starostwie Powiatowym w Słupsku. Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 - Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.



OTWARCIE WYSTAWY ROMANY MAŁECKIEJ - ZATRZYMANE W CZASIE

SŁUPSK, KWIECIEŃ 2012



Drodzy Czytelnicy!

Ostatni Konwent Samorządowców Powiatu Słupskiego, który odbył się pod koniec kwietnia br. był okazją do omówienia wielu ważnych spraw dla samorządów i mieszkańców naszego powiatu. Dokonana prezentacja budowy numerycznych baz punktów

adresowych oraz ich integracja z zasobami powiatu pokazała, że należy korzystać z nowych narzędzi, bo znacząco usprawniają pracę w urzędzie. Obecnie z numerycznej bazy ewidencji i adresów korzystają dwie gminy - Ustka i Potęgowo. Ważne jest, by taka baza powstała w całym powiecie, była jednolita, zbudowana na podstawie rejestrów gminnych, bo to zagwarantuje jej aktualność. Mieszkańcy będą mieli wtedy dostęp do numeracji i innych danych przestrzennych w jednym miejscu - Powiatowym Portalu Mapowym.

Pomorski Wojewódzki Inspektor Transportu Drogowego wskazał na konieczność zacieśnienia współpracy z zarządcami dróg do pozyskiwania nowych miejsc do kontroli i ważenia pojazdów. Pozwoli to na większą ochronę infrastruktury drogowej. Skuteczne eliminowanie z ruchu pojazdów przeciążonych lub poruszających się bez stosownych zezwoleń wydaje się być nakazem chwili, przy obecnym stanie naszych dróg. Przy okazji poinformuję, że w tym roku, oprócz inwestycji drogowych realizowanych wspólnie z gminami, Zarząd Dróg Powiatowych planuje wykonać remonty odcinków dróg przechodzących przez kompleksy leśne, korzystając ze wsparcia finansowego Lasów Państwowych. Takie inwestycje będą prowadzone na drogach w gminach Kępice, Dębica Kaszubska i Ustce. Również samorządy gminne będą mogły ubiegać się o dofinansowanie remontu dróg gminnych, przebiegających przez kompleksy leśne.

Dyrektor firmy posiadającej koncesję na wykonywanie odwiertów w Polsce i poszukiwanie złóż gazu łupkowego zapewnił, że przy budowie wiertni bardzo przestrzega się ochrony wód powierzchniowych. Cały teren wiertni pokryty jest folią, wokół powstaje system odprowadzania wody, a tzw. bodnia jest zacementowana. Firma dba o środowisko naturalne, stara się zbudować dobry klimat dla prowadzonych inwestycji i stosuje najnowsze technologie badawcze. Poszukiwania gazu łupkowego zostaną wznowione jesienią tego roku i wówczas po szczelinowaniu, testach i próbach przystosowania do polskich realiów amerykańskich technologii wydobywania, będzie można jednoznacznie powiedzieć, czy gaz ten będzie wydobywany z głębokości 3-4 kilometrów i jakie będą jego ceny.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarski-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i lamowanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Wystawa prac malarskich Romany Małeckiej z Kwakowa; Powiat słupski na XVII Targach Turystyki i Wypoczynku - Lato 2012 w Warszawie.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

- Pracowita sesja 4
- W nowym domu 4
- Sportowcy otrzymali stypendia 5
- Skończyli przed czasem 6
- Więcej dla bezrobotnych 6
- Książka dla każdego 7
- Mieszkańcy ich wybrali 8
- Świetna zabawa 9
- 25 lat Klubu „Jantar” 9
- Na Kaziuczku Niemeczyńskim 11
- Transplantologia - trudny temat 11
- My też możemy ratować życie! 12
- Krwią Jego ran zostaliście uzdrowieni ... 12
- „Obciach” w Kobylnicy 14
- Wiosna przyszła do Bierkowa 15
- Nauka i uczucia 16
- Nikifor - krynicki prymitywista 16
- Mimo wszystko 17
- Nie mogli poczuć się gorsi 18
- Kobieta PRL-u w słupskiej bibliotece 20
- Pisma, pisemka i... piśmidełka 22
- Bojowniczkę o słuszną sprawę 23
- Jak pan Janek znalazł dom 24
- Dzień uszczęśliwiania bliźniego 26
- Francisco Goya i historia jego najśłynniejszego obrazu 29
- Szlakiem św. Jakuba z Astorgi do Santiago de Compostela 30
- Bractwo spod znaku Nautilusa 32
- Kto ty jesteś? Polak mały 33
- Węgierski Październik w polskich wydawnictwach niezależnych w latach 1970 - 1989 34
- Sowieckie lotniskowce 38
- Nad morze o każdej porze 42

Interpelacje radnych dotyczyły m.in. udostępniania sali konferencyjnej starostwa; powodów odwołania prezesa spółki PKS, udziału w turnusach rehabilitacyjnych organizowanych przez PCPR, dopuszczenia przez Straż Pożarną pomieszczeń na poddaszu do użytkowania oraz sprzątnięcia dróg powiatowych w Ustce. Odpowiedzi udzielali: starosta słupski - Sławomir Ziemiąnowicz, dyrektor PCPR - Urszula Dąbrowska oraz komendant Miejskiej Straży Pożarnej - Andrzej Gomulski.

Po złożeniu przez starostę sprawozdania z działalności Zarządu Powiatu i wykonania uchwał Rady Powiatu, rozpoczęła się dyskusja na temat udostępniania sali reprezentacyjnej starostwa. Wymiana zdań dotyczyła również spółki PKS, między innymi powodów odwołania jej prezesa oraz rozstrzygniętego konkursu na dyrektora Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce, który wygrał Józef Maślowski, dotychczasowy dyrektor Zespołu Szkół Technicznych.

Po przerwie radni przyjęli informację o stanie bezpieczeństwa publicznego i pożarowego w powiecie słupskim w 2011 roku oraz o realizacji w 2011 roku Programu Zapobiegania Przemocności, Ochrony Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego. Informa-

Pracowita

Marcowa, XV sesja Rady Powiatu Słupskiego trwała dłużej niż zazwyczaj, bo po dwumiesięcznej przerwie nagromadziło się wiele spraw do omówienia



W nowym domu

W budynku przy ulicy Kościuszki w Ustce otwarto Dom dla Dzieci, do którego przeniesiono wychowanków z Domu przy ulicy Różanej



Fot. M. Matuszewska

W uroczystości otwarcia domu wzięli udział: starosta słupski - Sławomir Ziemiąnowicz, wicestarosta - Andrzej Bury, dyrektor Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie - Urszula Dąbrowska oraz przewodniczący Towarzystwa „Nasz Dom” w Warszawie - Tomasz Polkowski. Iwona Niemasz, dyrektor Domów dla Dzieci zapewniła, iż wszyscy opiekunowie i pracownicy bardzo się starali, aby stworzyć młodszym i starszym mieszkańcom placówki domowe warunki. Starosta życzył dzieciom, by mieszkano się im i żyło w nowym domu jak najlepiej, a wychowawcom wytrwałości w sprawowaniu opieki nad dziećmi. Zapewnił, że dobro dzieci pokrzywdzonych przez los i warunki w jakich mieszkają są zawsze ważne dla Zarządu Powiatu, dlatego w jego budżecie znalazły się pieniądze na ten remont.

Goście z okazji otwarcia domu przekazał liderce Agnieszce Kądzieli pamiątkowy obraz, a dzieciom sprzęt grający, albumy i inne upominki. Po symbolicznym przecię-

ciu wstęgi obejrzeli wszystkie pomieszczenia. Pokoje dla dzieci urządzone z niezwykłą starannością i dbałością o drobiazgi. Szczególnie widać to było w pokojach dla dziewczynek. Zadbano też, by kuchnia była atrakcyjnym miejscem. W piwnicy urządzone m.in. pralnię i spiżarnię oraz pomieszczenia, w których znajduje się duży telewizor, biblioteczka i stół bilardowy. W domu tym mieszka dwanaścioro dzieci w wieku od 11 do 19 lat. Ostatnio tak się złożyło, że wszystkie przez pięć dni w tygodniu przebywają w internatach szkół, w których pobierają naukę. Do domu tego przyjeżdżają jednak w piątek i w nim spędzają cały weekend oraz ferie i wakacje. Liderka zapewniła, że bardzo dobre warunki mieszkaniowe pomogą im stworzyć prawdziwie rodzinną atmosferę. (M.M.)



sesja

cje te przedstawili - komendant miejski Policji - Andrzej Szaniawski i komendant miejski Państwowej Straży Pożarnej - Andrzej Gomulski. Następnie starosta zrelacjonował sprawozdanie z działalności Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Powiatu Słupskiego za 2011 rok oraz Zarządu Powiatu Słupskiego o prowadzonych konsultacjach społecznych z mieszkańcami powiatu w 2011 roku. Kolejne sprawozdania dotyczyły: działalności Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku w 2011 roku, realizacji Programu działań na rzecz osób niepełnosprawnych, realizacji zadań finansowanych ze środków PFRON, dotyczących rehabilitacji społecznej prowadzonej przez Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku i zawodowej prowadzonej przez Powiatowy Urząd Pracy; realizacji Programu promocji zatrudnienia i aktywizacji lokalnego rynku pracy oraz złożeń programowych Planu Rozwoju Lokalnego Powiatu Słupskiego wraz z Wieloletnim Planem Inwestycyjnym do roku 2013.

Radni podjęli uchwały w sprawach: zmiany uchwały Nr XLIII/252/2006 Rady Powiatu Słupskiego z dnia 26 września 2006 roku w sprawie przyjęcia Planu Rozwoju Lokalnego Powiatu Słupskiego; przystąpienia Powiatu Słupskiego do realizacji projektu pn. „Renowacja oraz konserwacja plafonu znajdującego się w sali lustrzanej pałacu w Daminicy”; przystąpienia powiatu słupskiego do realizacji projektu pn. „Przygotowanie dokumentacji projektowej niezbędnej do realizacji inwestycji drogowych na terenie powiatu słupskiego”; zgody na udzielenie bonifikaty od opłat rocznych za trwały zarząd; przyjęcia od Wojewody Pomorskiego zadań publicznych z zakresu administracji rządowej; uchwalenia Powiatowego Programu Rozwoju Pieczy Zastępczej na lata 2012 - 2014; zatwierdzenia do realizacji dwóch projektów - jednego pn. „Ścieżką kultury i rekreacji w ciekawsze życie” i drugiego - „Rozwijamy żagle - wzmocnienie rodzin zastępczych” realizowanego przez Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w partnerstwie z Ośrodkiem Pomocy Społecznej w Głównych w ramach konkursu POKL dofinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego; wyrażenia zgody na zawieranie porozumień z jednostkami samorządu terytorialnego przyjmującymi uczniów na praktyki

zawodowe i organizującymi teoretyczną naukę zawodu w systemie kursowym; określenia szczegółowych warunków umorzenia w całości lub w części, łącznie z odsetkami, odroczenia terminu płatności, rozłożenia na raty lub odstępowania od ustalenia opłaty za pobyt dziecka w rodzinnej lub instytucjonalnej pieczy zastępczej; przystąpienia powiatu słupskiego do wspólnego opracowania z samorządami Słupska i Ustki dokumentacji projektowej dla Słupskiej Kolei Morskiej; określenia zadań, na które przeznaczają się środki Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych; zmiany statutów Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie, Machowinie i Machowinku; zmiany wieloletniej prognozy finansowej oraz zmian w budżecie powiatu na 2012 rok.

Dodatkowo pod obrady został wprowadzony projekt zmian uchwały Rady Powiatu Nr XXIII/173/2008 z dnia 7 października 2008 w sprawie zasad nabywania, zbywania i obciążania nieruchomości oraz ich wydzierżawiania lub wynajmowania na czas oznaczony dłuższy niż 3 lata lub na czas nieoznaczony. W wyniku głosowania radnych uchwała ta nie została podjęta.

Dobrochna Zawisza
Oddział Promocji i Współpracy
w Starostwie Powiatowym w Słupsku

Sportowcy otrzymali stypendia

Stypendia w bieżącym roku ubiegłego się 19 osób, w dwóch kategoriach: „wynik” - dla młodzieży posiadającej największe osiągnięcia w uprawianej dyscyplinie sportowej i „talent” - uzdolnionej sportowo, a potrzebującej wsparcia materialnego. Decyzją Zarządu Powiatu Słupskiego z 1 marca br. stypendia sportowe w pierwszej kategorii przyznano: Patrykowi Błaszczukowi - uczniowi Gimnazjum w Ustce - 200 zł miesięcznie, Aleksandrze Karpuk - uczniowi Gimnazjum Usteckiego Towarzystwa Oświatowego - 300 zł miesięcznie, Mateuszowi Łunkiewiczowi - uczniowi Liceum Ogólnokształcącego w Ustce - 300 zł miesięcznie, Klaudii Maruszewskiej - uczennicy Gimnazjum w Ustce - 200 zł miesięcznie, Marcinowi Mencfelowi - uczniowi Gimnazjum Usteckiego Towarzystwa Oświatowego - 200 zł miesięcznie. W drugiej kategorii - Pawłowi Janikiewiczowi z Gimnazjum w Kobylnicy, Paulinie Przybylskiej z Gimnazjum w Ustce, Arturowi Szczepaniakowi z Gimnazjum w Łupawie, Joannie Terefenko z Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Ustce - wszystkim po 100 złotych miesięcznie.

W siedzibie starostwa wręczono stypendia młodzieży uzdolnionej sportowo, osiągającej wysokie wyniki we współzawodnictwie krajowym i międzynarodowym



Stypendia młodzież będzie otrzymywać przez okres 10 miesięcy, od marca do grudnia br. W uroczystym ich wrę-

czeniu wziął udział cały Zarząd Powiatu Słupskiego oraz przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego - Ryszard Stus. Sty-

pendia wręczał starosta słupski - Sławomir Ziemanowicz i wicestarosta - Andrzej Bury. **(D. G.)**

Skończyli przed czasem

Karolina Walicka z II klasy usteckiego Liceum Ogólnokształcącego wykazała się największą wiedzą w etapie powiatowym VII edycji Pomorskiego Konkursu Wiedzy o Samorządzie Terytorialnym

Konkurs odbył się 21 marca br. w siedzibie starostwa. Na drugim miejscu znalazł się Patryk Błaszczak z tej samej szkoły, a na trzecim - Anna Peta z Zespołu Szkół Agrotechnicznych ze Słupska. W konkursie brali udział uczniowie z wszystkich szkół ponadgimnazjalnych powiatu, tj. z Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słup-

sku, Zespołu Szkół Ogólnokształcących oraz Zespołu Szkół Technicznych w Ustce. Uczestnicy rozwiązywali test składający się z pięćdziesięciu pytań dotyczących zagadnień samorządu gminnego i powiatowego. Pytania nie były łatwe, ale uczniowie sobie z nimi poradzili i test skończyli przed czasem.



Fot. M. Matuszewska

Celem organizowanego od kilku lat konkursu jest upowszechnienie wiedzy o samorządzie terytorialnym, oraz pogłębienie wiedzy o lokalnym i regionalnym życiu społecznym, wzmacnianie patriotyzmu lokalnego i regionalnego.

(M.M.)

Więcej dla bezrobotnych

Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku otrzymał fundusze na projekt systemowy „Eurokariera” współfinansowany przez Europejski Fundusz Społeczny

W tym roku w ramach konkursu „Poprawa zdolności do zatrudnienia oraz podnoszenie poziomu aktywności zawodowej osób bezrobotnych” słupski Powiatowy Urząd Pracy otrzymał 4 203 tys. zł - najwyższe dofinansowanie w województwie pomorskim. Jest to kwota o 450 tys zł wyższa niż pozyskana w roku ubiegłym. W ramach projektu pomocą objętych zostanie 341 osób i realizowane będą następujące formy wsparcia: szkolenia, staże, dotacje oraz refundacja kosztów doposażenia stanowisk pracy. Na szkolenia skierowane zostaną 44 osoby. Bezwrotne dotacje w wysokości 21.520,50 zł (sześciokrotność przeciętnego wynagrodzenia) na podjęcie działalności gospodarczej, pod warunkiem prowadzenia działalności przez minimum 12 miesięcy, otrzymają 123 osoby. W ramach refundacji kosztów doposażenia stanowiska pracy utworzone zostaną miejsca pracy dla 20 osób. Kwota dotacji dla pracodawcy jest taka sama jak w przypadku dotacji dla osoby bezrobotnej. Stanowisko pracy musi być utrzymane przez minimum 24 miesiące.

Możliwość odbycia stażu będą miały 154 osoby. Umowy stażowe podpisywane będą na okres do 6 miesięcy. Stażysta otrzyma stypendium w wysokości 913 zł brutto.

Projekt zakłada, że co najmniej 25 proc. jego uczestników będą to osoby w

wiek 15 - 24 lata, drugie 25 proc. w wieku 50 - 64 lata oraz co najmniej 10 proc. - osoby niepełnosprawne zarejestrowane w Powiatowym Urzędzie Pracy.

Informacje o możliwości udziału w projekcie można uzyskać u pośredników pracy przy ulicy Leszczyńskiego 8 oraz w punktach zamiejscowych PUP. Informacje na temat uzyskania środków na podjęcie działalności gospodarczej, stworzenia stanowisk pracy w ramach doposażenia lub doposażenia stanowiska pracy, organizacji staży - w siedzibie PUP przy ulicy Fabrycznej 1, pok. nr 4.

Marcin Horbowy
Słupsk





Sam starosta Sławomir Ziemianowicz, uczestniczący w prezentacji zauważył, że tylu dziennikarzy dawno nie miał. - Na prezentację historycznej książki przyszło was chyba nawet więcej jak na konferencję w sprawie tarczy antyrakietowej - powiedział nieco zdziwiony tłumem, witając zgromadzonych. Liczącą 250 stron i zawierającą wiele ilustracji dokumentujących dawne miejsca pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupeckiego (z okresu wojen napoleońskich, w wojnach o zjednoczenie Niemiec, z I i II wojny światowej) wydało słupeckie starostwo w ramach realizacji „Powiatowego programu opieki nad zabytkami, opracowanego na lata 2009 - 2012”.

- Dawne pomniki żołnierskie na terenie powiatu słupeckiego to pozostałość świata, który zaginął ponad sześćdziesiąt lat temu. Kamienne pomniki, drewniane tablice, witraże i dzwony, choć martwe ciągle mówią do nas. Mówią o ludziach, którym wypadło żyć i umierać w świecie pełnym wojny i nienawiści, którzy musieli porzucić swoje domy i rodziny, i ruszyć na wojny w imię króla i cesarza, ojczyzny wielkiej i małej - napisał na okładce swojej książki W. Machura. - Mówią też o tych, którzy je fundowali, projektowali i wznosili, by uratować pamięć o swoich najbliższych, aby za ich pomocą wskazać nowym pokoleniom ideały do naśladowania. Niestety, jak później przekonał się cały świat, owe wzory doprowadziły Europę na skraj zagłady i w szaleństwo zbrodni przeciwko ludzkości. My, Polacy przybyliśmy na ziemię słupecką po II wojnie światowej. Ogrom zbrodni hitlerowskich i lęk przed niemieckim odwetem spowodowały, że dziedzictwo materialne tych ziem dzieliliśmy na złe - ponemieckie i dobre - słowiańskie i polskie. Pomniki żołnierskie, choć nie raz brzmieniem umieszczonych tam nazwisk świadczyły o słowiańskich korzeniach ziemi słupeckiej, niszczone były jako wspomnienie prusko-niemieckiego nacjonalizmu i militarystyki. Dopiero niedawno dziedzictwo dawnych lat mogło przemówić do nas nowym głosem, gdy kolejne pokolenie polskich mieszkańców przestało bać się swoich sąsiadów zza Odry, gdy poczuło, że pochodzi stąd i tylko stąd. Domy, kościoły, pomniki przestają być ponemieckie, stają

Książka dla każdego

Dawno w siedzibie słupeckiego starostwa nie zebrano tylu dziennikarzy i pasjonatów regionalnej historii, co na prezentacji najnowszej książki pt. „Dawne miejsca pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupeckiego”, autorstwa historyka Warcisława Machury

się nasze - europejskie, pomorskie i słupeckie. Pomijany dotąd okres historii naszej Małej Ojczyzny, obejmujący XIX i I połowę XX w., zostaje wspólnym trudem pasjonatów historii zapełniany opisywaną na nowo wiedzą o tamtych ludziach i ich losach. Dzięki temu pomniki żołnierskie na nowo odkrywane, ponownie ustawiane na miejscach, skąd niegdyś je usunięto mówią nam znów o losie ludzi, ich nadziejach, marzeniach i tragediach. Stać nas dzisiaj na dystans i na zrozumienie trudnych losów ówczesnych Pomorzaków. Ta książka jest właśnie o tych ludziach. Nie o kamieniach, nie o drewnianych tablicach. Jest o ludziach i o tym, jak się oni od końca I wojny światowej zmieniali. To, że powstała, świadczy, iż zmienili się na lepsze.



Fot. J. Maziejuk

W książce opatrzonej wstępem autora i ogólnym opisem form upamiętniania żołnierzy niemieckich w okresach wielu wojen skatalogowano około 70 różnych obiektów - miejsc pamięci rozmieszczonych w Słupsku i w całym powiecie słupeckim, zaprezentowano i opisano miejsca, o które się często codziennie od wielu dziesiątek lat potykamy i nic o nich nie wiemy. Ta książka, poza tym, że jest - jak twierdzi jej autor - przede wszystkim o ludziach, to przybliży nam wiedzę o tych wszystkich zapomnianych i lekceważonych miejscach. Jest dla historyka zgłębiającego wiedzę o regionie, ale też dla przeciętnego śmiertelnika ze Słupska i powiatu słupeckiego, zainteresowanego miejscem, w którym żyje.

Zbigniew Babiarz-Zych, Słupsk

Mieszkańcy ich wybrali...

ANDRZEJ ZAWADA



Fot. Archiwum

Pochodzę... z Objazdy - to moja rodzinna wieś, tu się wychowałem, chodziłem do szkoły, założyłem rodzinę. Stale jestem z nią mocno związany, tu rozpocząłem pierwszą pracę zawodową, do dzisiaj pracuję w szkole, trenu-

ję uzdolnioną sportowo młodzież. I będę się starał, żeby się rozwijała i piękniała.

Wiek... 46 lat.

Wykształcenie... wyższe magisterskie (Papieski Wydział Teologiczny w Poznaniu).

Pracuję w... szkole, jako nauczyciel wychowania fizycznego.

Moja rodzina... żona Ewa, córka Monika i od kilku miesięcy długo oczekiwany „syn” - zięć Michał.

Z samorządem jestem związany od... 1998 roku (trzy kadencje w Radzie Gminy Ustka).

Zostałem radnym, bo... widziałem wokół siebie potrzebę działania. Po latach doświadczeń w samorządzie gminnym wiem, że nie wystarczy tylko widzieć problem. Trzeba także rozpoznać jego przyczynę, zrozumieć sytuację i poświęcić sprawie wiele własnego czasu. Na tym polega sprawowanie mandatu radnego.

Realizuję się w pracach komisji... Polityki Społecznej, której przewodniczę, i Rewizyjnej.

Dobry samorządowiec to... taki, który słucha mieszkańców; pamiętający, że ma dbać o mieszkańców - wszystkich bez wyjątku.

Atutem powiatu słupeckiego jest... położenie. Dostęp do Bałtyku sprawia, że jesteśmy regionem utożsamianym z letnim wypoczynkiem. Piaszczyste plaże w Ustce, Rowach, Orzechowie, Poddąbii i Czołpinie co roku przyciągają tysiące wczasowiczów. Ruchome wydmy w Słowińskim Parku Narodowym to największa atrakcja turystyczna regionu, ale też nie należy zapominać o Krainie in Kratę, Muzeum w Klukach czy szlaku najstarszych elektrowni wodnych w Europie. Idealne warunki do uprawiania turystyki aktywnej oraz wiele innych atrakcji historyczno-przyrodniczych zachęca, by spędzić tu urlop o każdej porze roku. To sprawia, że tury-

styka w naszym regionie staje się jedną z istotniejszych gałęzi gospodarki.

Gościom najczęściej pokazuję... moreny i urokliwe plaże pomiędzy Rowami a Czołpinem.

W ludziach cenię... szczerość, szczerość i jeszcze raz szczerość.

Najbardziej nie lubię... w ludziach - pychy i arogancji.

Moja największa zaleta i wada... zaletą zapewne jest umiejętność krytycznego spojrzenia na siebie, a wada ... ciągle w biegu.

Ulubione miejsce na wypoczynek... wypoczynek jedynie czynny - w Tatrach.

Mój największy sukces... jest jednocześnie moją tajemnicą.

Największe marzenie... usłyszeć słowo: dziadku; a w sferze zamierzeń - stanąć na starcie ultramaratonu wokół Mont Blanc i ukończyć go.

Motto życiowe... Żyj i pozwól żyć innym.

TOMASZ WSZÓŁKOWSKI



Fot. Archiwum

Pochodzę... z Ustki.

Wiek... 48 lat

Wykształcenie... wyższe, ukończona Akademia Wychowania Fizycznego w Poznaniu. Jestem magistrem turystyki.

Pracuję w... Urzędzie Miasta Ustka na stanowisku zastępcy naczelnika Wydziału Polityki Społecznej. Po studiach pracowałem jako nauczyciel wychowania fizycznego w szkole podstawowej w Ustce. Pracę w samorządzie rozpocząłem w Urzędzie Miejskim w Słupsku, gdzie udało mi się zebrać duże doświadczenie, które obecnie wykorzystuję w pracy dla społeczności Ustki.

Moja rodzina... to żona Ewa i trzech synów. Najstarszy Adam jest uczniem I klasy gimnazjum, Tomasz jest uczniem klasy piątej szkoły podstawowej, a najmłodszy Kuba edukację łączy z zabawą w przedszkolu.

Z samorządem jestem związany od... urzędnikiem samorządowym jestem w trzecim pokoleniu, gdyż dziadkowie w czasach powojennych pracowali w samorządzie, tata ponad trzydzieści lat kierował gminą Ustka, a mnie nie pozostało nic innego jak kultywować tradycje rodzinne. Pracę w urzędzie rozpocząłem w 1999 roku, a radnym miasta Ustka zostałem w 2002 roku.

Zostałem radnym, bo... to wynika z mojego podejścia do życia i tego, co przekazał mi tata. Lubię pracować z ludźmi i na rzecz ludzi, gdyż to daje mi wiele satysfakcji. Praca w radzie powiatu jest nieco inna niż w radzie miasta, ale udało mi się znaleźć zagadnienia, które mnie interesują, m.in. rozwój turystyki i dostępność komunikacyjna.

Realizuję się w pracach komisji... Budżetu i Finansów oraz Rozwoju Powiatu, a także Rewizyjnej.

Dobry samorządowiec to... człowiek pracujący pokornie, konsekwentnie, realista, który nie składa obietnic bez pokrycia.

Atutem powiatu słupeckiego jest...

położenie, czyli są nim różne walory turystyczne - morze, jeziora, rzeki, wydmy czy ciekawe tereny leśne, co stwarza wiele możliwości uprawiania turystyki aktywnej.

Gościom najczęściej pokazuję... najbliższą okolicę, w tym oczywiście Ustkę, oraz Słowiński Park Narodowy z ruchomymi wydmyami o randze Światowego Rezerwatu Biosfery wpisane go na listę UNESCO. Polecam również swoim gościom turystykę militarną.

W ludziach cenię... uczciwość, sprawiedliwość, aktywność i dążenie do postępu. Szanuję takich ludzi, którzy w swoich działaniach starają się widzieć drugiego człowieka.

Najbardziej nie lubię... egoizmu, zapatrzenia tylko w siebie. Coraz rzadziej spotyka się takie postawy, jak chociażby podanie ręki czy zwykły uśmiech.

Moja największa zaleta i wada... o moich zaletach i wadach powinny wypowiadać się osoby, które ze mną pracują i znają mnie najlepiej. Powierzchnowe oceny są czasami bardzo krzywdzące. Jeśli chodzi o wady, to czasami poddaję się, ale staram się być konsekwentny i dążyć do celu. Myślę, że moje zalety i wady się równoważą, więc nie warto o wszystkich mówić.

Ulubione miejsce na wypoczynek... jeśli chodzi o krótki wypoczy-

nek - to wycieczki rowerowe po okolicy. Na dłuższy chętnie wybieram się w góry. Jestem zwolennikiem poznania najpierw kraju i pokazania dzieciom tego co jest w Polsce, a później dopiero wyjazdów zagranicznych.

Mój największy sukces... jeśli można mówić o tym w kategoriach sukcesu, to szczęśliwa rodzina. Staram się spełniać jako ojciec, być dla swoich synów mądrym doradcą życiowym.

Największe marzenie... mam ich wiele, od tych najbardziej przyziemnych do zupełnie górnoletnich. Marzę, by żyć w silnej Polsce, gdzie ludzie będą się wzajemnie szanowali. Jeśli chodzi o marzenia osobiste, chciałbym, być autorytetem dla swoich dzieci. Jako mieszkaniec i radny powiatu słupeckiego, zależy mi na dynamicznym rozwoju społeczno-gospodarczym i nowych miejscach pracy. Bardzo chciałbym, by udało się uruchomić port lotniczy w Redzikowie. To moje największe samorządowe marzenie, które prędzej czy później stanie się faktem.

Motto życiowe... Mam ich wiele, ale wymienię dwa dla mnie najważniejsze - człowiek jest wart tyle, ile potrafi dać innym, drugie - jeśli chcesz dojść do prawdy, trzeba czasami iść pod górę i pod prąd.

Zanotowała:
Maria Matuszewska



25 lat Klubu „Jantar”

Podczas oficjalnych uroczystości, które odbyły się 13 kwietnia br. Andrzej Wojtaszek - członek Zarządu Powiatu Słupskiego gratulował członkom klubu aktywnej działalności popularyzującej ideę ruchu olimpijskiego i rozwoju kultury fizycznej wśród dzieci i młodzieży. Dzięki zaangażowaniu władz klubu i jego przyjaciół młodzi sportowcy mają niepowtarzalną okazję uczestniczyć w największych imprezach sportowych, poznawać bogatą historię i tradycje olimpijskie. Za sukcesy sportowe i dobre wyniki w nauce klub organizuje

im m.in. wyjazdy na igrzyska olimpijskie, z których skorzystali także młodzi sportowcy z powiatu słupskiego. Byli obecni na Letnich Igrzyskach w Pekinie i Zimowych Igrzyskach w Vancouver. Obecnie wyłaniany jest kandydat(ka) na wyjazd na Letnie Igrzyska w Londynie, które odbędą się na przełomie lipca i sierpnia br.

W 2007 roku za krzewienie idei olimpijskiej szczególnie wśród młodzieży szkolnej wielkopolski klub sportowy „Jantar” został wyróżniony przez Międzynarodowy Komitet Fair Play. (D.Z.)

Jubileusz 25-lecia obchodzi Klub Olimpijczyka „Jantar” w Racocie (woj. wielkopolskie). Powiat słupski współpracuje z tym klubem

Świetna zabawa

Od listopada ubiegłego roku do końca lutego br. dwadzieścia słuchaczek Usteckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku „Żyj kolorowo” wspomagało wychowawców szkolnej świetlicy. Dzięki pracy i zaangażowaniu wolontariuszek, dzieci miały zapewnioną opiekę oraz bezpieczną i ciekawą zabawę. Odbyły się m.in. warsztaty ceramiczne, które przeprowadziła zaprzyjaźniona z uniwersytetem Ewa Graniak. Zajęcia cieszyły się ogromnym zainteresowaniem - dzieci uznały nawet, że lepienie w glinie jest fajniejsze od gier komputerowych.

Wspólnie spędzony czas zaowocował obopólną sympatią: dzieci zyskały nowe babcie, a wolontariuszki - przysposobione wnuczka. Zwieńczeniem owocnej współpracy był uroczysty koncert, podczas którego dzieci dziękowały paniom piosenką, słowem i tańcem za poświęco-

Szkoła Podstawowa nr 2 w Ustce otrzymała niebagatelne wsparcie od Usteckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku



Fot. S.P. w Ustce

ny im czas, serce i wysiłek. Uczniowie byli tak przekonujący, że bez trudu wzbudzi-

li uśmiech i wzruszenie licznie zgromadzonych słuchaczek UUTW. (S)

lepienie w glinie fajniejsze od komputera

XXIII „Kaziuczek Niemenczyński” był okazją do pobytu delegacji powiatu słupskiego w rejonie wileńskim

Na K

Towarzyszyły temu prezentacje muzyczne, na które zaproszono też zespół z powiatu słupskiego.

Mieczysław Borusewicz uroczystie otwierając XXIII Kaziuczek Niemenczyński szczególnie serdecznie powitał gości z partnerskiego powiatu słupskiego oraz polski zespół muzyczny. Jan Mincewicz - wicemera Samorządu Rejonu Wileńskiego oraz Stanisław Kargul - konsul polskiej ambasady w Wilnie życzyli wszystkim udanej imprezy mimo deszczowej aury, a przede wszystkim słońca, optymizmu i nadziei, którą co roku przynosi wiosna.

Starosta słupski Sławomir Ziemianowicz podziękował za zaproszenie i możliwość udziału w tym tradycyjnym jarmarku. Podkreślił, że są to początki nawiązywania partnerstwa z miastem Niemenczyn. Powiedział, że już dzisiaj czuje życzliwość jego mieszkańców, a przede wszystkim mieszkających w całym rejonie wileńskim Polaków. Dlatego też chciałby, aby współpraca rozwijała się z korzyścią dla mieszkańców obu regionów.



Fot. M. Matuszewska

Impreza pod taką nazwą tradycyjnie odbywa się w pierwszą sobotę marca, natomiast tegoroczna wyjątkowo została przeniesiona na 10 marca ze względu na udział Litwinów w Światowych Zimowych Igrzyskach Polonijnych. W tym roku Litwa w klasyfikacji medalowej była na pierw-

szym miejscu, a starosta Niemenczyn - Mieczysław Borusewicz zdobył aż cztery medale - dwa złote i dwa srebrne. Jarmark kaziukowy odbywał się na głównej ulicy miasteczka, gdzie na wielu stoiskach sprzedawano rękodzieło ludowe, rozmaite przysmaki regionalne oraz inne wyroby.

W Polsce obserwuje się niechętny stosunek społeczeństwa do kwestii przeszczepiania narządów. Prawdopodobnie przyczyną nieufności tkwi w niedostatecznej informacji. Wiedząc, że dar życia jest bezcenny i może stać się udziałem każdego, jako dawcy czy biorcy, warto mieć rzetelne informacje na ten temat, aby przełamać społeczne tabu transplantologii. Właśnie taki cel przyświecał VIII konferencji z cyklu „Zdrowie dzieci i młodzieży” pt. „Podaruj życie. Transplantologia”. Zorganizowali ją 30 marca br. dla nauczycieli, pielęgniarek, samorządowców i młodzieży - Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli i Starostwo Powiatowe w Słupsku.

Dr Joanna Wawrzyniak, anestezjolog ze słupskiego szpitala i koordynator transplantacyjny wprowadziła uczestników konferencji w temat śmierci człowieka - koniec czy początek? Przejmująco opowiadała o długiej procedurze orzekania śmierci mózgu u pacjenta zakwalifikowanego do przeszczepu. - Jeśli pacjent posiadał podpisane oświadczenie woli - procedury są jasne - mówiła. - Jeśli nie - należy uzyskać zgodę rodziny. Ale jak ma lekarz rozmawiać z bliskimi o oddaniu narządów, gdy rodzina przeżywa tragedię?

Wystąpienie Joanny Jurkiewicz - od trzynastu lat żyjącej z przeszczepioną nerką było dowodem na to, jak przeszczep ratuje życie. Jak wygląda życie osoby, która żyje ze świadomością, iż tylko przeszczep jest dla niej nadzieją. Człowiek zmaga się

Transplantologia



Wiele trzeba zrobić, by Polska dogoniła Hiszpanię, w której od zmarłych dawców pobiera się trzy razy więcej narządów do przeszczepu niż w naszym kraju

Kaziuczku Niemenczyńskim

Zespół Danser z powiatu słupskiego zgromadził na dłuższej kupujących przed niewielką sceną, usytuowaną przed urzędem miasta. Młodzi artyści - Justyna Oniszcuk-Skóra z Wrzącej i Zbigniew Jelonok z Kwakowa śpiewali covery najpopularniejszych polskich piosenek i utworów. Planowany występ przedłużył się prawie dwukrotnie, gdyż publiczność chciała jak najdłużej słuchać polskich piosenek. Prawie połowa mieszkańców Niemenczyzna to Polacy, były więc gromkie oklaski, bisy i wspólne śpiewanie.

Na kaziukowej imprezie wystąpił także zespół SAVINNIKAS z Bajoreliu w gminie Pabrade (oddalonej o 20 km od Niemenczyzna). Muzycy grają od dwudziestu lat, a z podstawowego składu wystąpili: Zbigniew Jelinek - gitarzysta i kierownik zespołu, Sergej Brovko - klawiszowiec oraz Dżania Brovko - solistka, któ-

ra śpiewa z zespołem od siedmiu lat. Zespół prezentował polską muzykę stylizowaną na wzór dancinów z końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Większość wyko-

cestarosta Andrzej Bury oraz Walentyna Małek, Edward Sasko i Andrzej Wojtaszek - członkowie Zarządu Powiatu Słupskiego przedstawili gospodarzom, radnym samorządu wileńskiego, konsulowi i pracownikom powiat słupski, jego walory krajobrazowo-historyczne oraz rozwój gospodarczy i społeczny.

Rozmawiano o kierunkach i możliwościach współpracy. Polski konsul w Wilnie S. Kargul zapewnił, że włączy się w organizację wyjazdu dzieci do Polski, gdyby taka wymiana miała dojść do skutku. Starosta S. Ziemianowicz przekazał gospodarzom i litewskim gościom materiały promocyjne o powiecie słupskim, zachęcał do przyjazdu i poznania pięknej ziemi słupskiej.

Maria Matuszewska

Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku



Fot. M. Matuszewska

nywanych utworów ma zmieniony tekst, którego autorami są członkowie zespołu.

Kiedy polski zespół prezentował się na scenie, starosta S. Ziemianowicz, wi-

ogia - trudny temat

z uciążliwą chorobą, czeka, wreszcie przychodzi radość, że jest dawca. Pani Joanna jest szczęśliwą żoną, matką, podróżuje i cieszy się życiem.

Małgorzata Danielkiewicz w swoim wystąpieniu zatytułowanym „Twoja krew - moje życie” mówiła, jak zostać dawcą krwi, kto może nim zostać. Krwiodawstwo jest akcją społeczną mającą na celu pozyskiwanie krwi od osób zdrowych na rzecz osób wymagających transfuzji. W Polsce krew oficjalnie oddaje się tylko honorowo, czyli bezpłatnie.

Doktor Wojciech Homenda wyjaśnił, jak wykorzystuje się krwiotwórcze komórki macierzyste i dlaczego przeszczepianie szpiku jest metodą z wyboru leczenia wielu nowotworów (białaczki, chłoniaka, szpiczaka mnogiego) oraz niektórych chorób nienowotworowych, na przykład wrodzonych defektów krwiotworzenia i odporności.

Doktor Małgorzata Masełkowska w swoim wystąpieniu zatytułowanym „Transplantacja a dieta” mówiła, dlaczego musi zmienić się sposób żywienia osoby oczekującej na przeszczep i po nim. Podkreślała, że generalnie za mało uwagi poświęcamy temu, co jemy i jak przyrządzamy nasze codzienne posiłki.

Paweł Klikowicz mówił o kampanii „Dawca.pl. - Bądź świadomym dawcą narządów”. Jest jej koordynatorem. Bieżące działania kampanii skupiają się na promocji idei oddawania narządów, szpiku kostnego oraz krwi. - Trwają prace nad pierwszym w Polsce szkoleniem internetowym na temat transplantologii, które w pierwszej kolejności zostanie skierowane do uczniów wszystkich szkół ponadgimnazjalnych w Polsce oraz studentów - mówił P. Klikowicz.



Fot. J. Maziejuk

Maciej Maraszkiewicz z Akademii Pomorskiej w Słupsku podniósł kwestię mobilizacji powszechnej jako elementu transplantologii. Samodzielny Publiczny Miejski Zakład Opieki Zdrowotnej w Słupsku również proponował przeprowadzenie intensywnej kampanii edukacyjnej na jej temat wśród młodzieży słupskich szkół.

Dane statystyczne pokazują, że liczba przeszczepów w Polsce jest nieproporcjonalnie niska w porównaniu do zapotrzebowania. To jednak można zmienić, nosząc przy sobie na przykład oświadczenie woli w portfelu o ewentualnym wykorzystaniu po śmierci naszego organu do przeszczepu. Organizatorzy konferencji chcieliby, by Polska dogoniła Hiszpanię, w której od zmarłych dawców pobiera się trzy razy więcej narządów niż w naszym kraju. Los może sprawić, że każdy stanie kiedyś w obliczu choroby, gdzie jedynym ratunkiem będzie przeszczep organu. Dlatego wiedza na temat transplantologii jest równie bezcenna, jak dar życia. Wiele trzeba jeszcze zrobić, by nikt w Polsce nie musiał umierać z powodu braku dawcy jakiegoś narządu.

Irena Czyż

Konsultant w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli w Słupsku

Fot. J. Maziejuk

My też możemy ratować

Zwiększająca się umieralność z powodu chorób układu krążenia oraz coraz częściej występujące wypadki komunikacyjne i zagrożenia o charakterze masowym, wymusiły stworzenie nowoczesnego systemu ratownictwa medycznego w Polsce, opartego na standardach europejskich



Jednym z głównych filarów tego systemu jest powszechna edukacja wśród młodzieży szkolnej z zakresu udzielania pierwszej pomocy. Ustawa o Państwowym Ratownictwie Medycznym z 8 września 2006 roku wprowadza m.in. pierwszą pomoc w szkołach jako odrębny moduł na wszystkich poziomach nauczania, obowiązek przeszkolenia pracowników i funkcjonariuszy jednostek współpracujących z systemem PRM (PSP, OSP, Policja, Straż Graniczna, Wojsko, WOPR, GOPR, TOPR, PCK i in.) w zakresie kwalifikowanej pierwszej

pomocy. Nauka jej udzielania powinna być powszechna, gdyż nie wiadomo, kiedy i od kogo, będziemy pomocy oczekiwać. Udzielanie pierwszej pomocy na miejscu zdarzenia zwiększa szansę przeżycia u poszkodowanych z nagłym zatrzymaniem oddechu i krążenia. Moralnym, społecznym i prawnym obowiązkiem każdego obywatela jest podjęcie próby jej udzielenia.

Kształtowanie wrażliwości młodzieży na potrzeby i problemy bliźnich, umożliwianie włączania się w działalność na rzecz potrzebujących jest zgodne z ideami Zako-

Krwia Jego ran

Niewiele się ludzie nauczyli od Jezusa. Nadal pełno jest obojętności, bezinteresownej zawiści, krzywdzenia i zabijania - fizycznie lub psychicznie. Nadal w każdym pokoleniu uwalnia się „Barabaszów”, a niewinnych skazuje na wojny

Niedziela, 1 kwietnia była dniem szczególnym dla domów pomocy społecznej z powiatu słupeckiego. Odtwórcami głównych ról w obrzędzie Misterium Męki Pańskiej na górę „Rowokół” w Smołdzinie byli mieszkańcy Domów Pomocy Społecznej z Lubuczewa, Machowina, Machowinka i Przytocka oraz podopieczni Środowiskowego Domu Samopomocy w Gardnie Wielkiej. Pierwsza Droga Krzyżowa z udziałem mieszkańców DPS odbyła się w 2004 roku. Postać Jezusa odtwarzał M. Kruk - pensjonariusz z Lubuczewa. W następnym, 2005 roku, już wszystkie role i postacie wzięli na siebie mieszkańcy DPS-ów. W roku 2011, po kilkuletniej przerwie - doceniając ogromny walor kultury i tradycji chrześcijańskiej - powrócono do tej ekspresyjnej formy przeżywania, tym bardziej że zawiera ona terapeutyczny i wspierająco-aktywizujący



Fot. J. Maziejuk

ratować życie!

nu Maltańskiego. Pierwsza pomoc przedmedyczna może uratować życie osób lub może ustabilizować ich stan i pomóc w odzyskaniu zdrowia pod warunkiem, że ratownik (first aider) jest wyszkolony do zapewnienia i kontrolowania sytuacji, aż do przybycia personelu medycznego. Tak zwana złota godzina to czas graniczny od urazu do wprowadzenia interwencji ratującej życie. Dojazd karetki pogotowia ratunkowego w obecnych czasach (korki drogowe, brak dobrego podjazdu) może się wydłużyć i trwać nawet do piętnastu minut, a po około czterech minutach od momentu zatrzymania akcji serca rozpoczyna się proces obumierania tkanek mózgu. Często zdarza się, że to od przypadkowych świadków wypadku, którzy nie wiedzą, jak udzielić pierwszej pomocy, zależy, czy poszkodowany w wypadku przeżyje, czy nie.

Należy zapobiegać takim sytuacjom. Idee Zakonu Maltańskiego i Maltańskiej Służby Medycznej stanowią wzorce w kształtowaniu wrażliwości młodzieży i dorosłych na potrzeby i problemy bliźnich, włączania się w działalność na rzecz potrzebujących pierwszej pomocy przedmedycznej. Udzielona taka pomoc na miejscu zdarzenia zwiększy szansę przeżycia u poszkodowanego, a wówczas usłyszymy: „Gdyby on nie udzielił mi pierwszej pomocy, to nie byłoby mnie tutaj teraz.”

Członkowie Ochotniczych Straży Pożarnych jako pierwsi są zazwyczaj na miejscu zdarzenia i to oni pierwsi udzielają pomocy przedmedycznej poszkodowanym. Powinni umieć fachowo jej udzielać. Jednostki OSP działają w społeczności lokalnej, fundusze jakie otrzymują od samorządów gminnych głównie przeznaczają na zakup paliwa, sprzętu oraz bieżące remonty. Na tak ważne szkolenia jak udzielanie pierwszej pomocy przedmedycznej, środków już nie wystarcza. Brak wyszkolonej kadry w jednostkach zmniejsza szansę przeżycia poszkodowanych. Program Operacyjny Kapitał Ludzki stworzył możliwości pozyskiwania środków między innymi na tego rodzaju szkolenia w ramach tzw. oddolnych inicjatyw edukacyjnych na obszarach wiejskich.

Rada Regionalna Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji Technicznej w Słupsku, korzystając z tych możliwości, zrealizowała w 2011 roku dwa projekty w powiecie słupskim, przeszkalając po 30 ochotników strażaków z OSP w gminach - Kępice i Dębica Kaszubska. Po ogłoszeniu konkursu na 2012 rok złożyła dwa kolejne projekty, tym razem w partnerstwie ze Stowarzyszeniem na Rzecz Rozwoju Regionu Słowińskiego „Kluka”. Oba będą realizowane. Pierwszy - „Pomóżmy ratować życie” w gminie Smołdzino i drugi - „Życie cenny dar” w partnerstwie z Ochotniczą Strażą Pożarną w Dretyniu - dla OSP w Kołczygłowach, Miastku, Trzebielinie i Tuchomiu w powiecie bytowskim. W obu przeszkolonych zostanie po 30 strażaków. Ponadto NOT z Ochotniczą Strażą Pożarną



Fot. J. Maziejuk

w Somoninie będzie realizować projekt „My też możemy ratować życie!” w tamtejszym Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych im. Józefa Wybickiego. Przeszkolonych zostanie 37 uczniów. Szkolenie zakończy się egzaminem. Uczestnicy nabędą umiejętności i kwalifikacje ratowników pierwszej pomocy przedmedycznej.

Poprzez takie działania zwiększy się poczucie bezpieczeństwa społeczności lokalnej, przeszkolona grupa ochotników wspomże Państwową Straż Pożarną i Pogotowie Ratunkowe w ich działaniach na rzecz ratowania ludzi.

Joanna Orłowska
Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Regionu Słowińskiego „Kluka”

ostaliście uzdrowieni



walor dla podopiecznych. Tak rozumiana i odtwarzana przez aktorów istota cierpienia, zawiera też w sobie cały Dekalog, sens i cel budzenia Wiary, Nadziei i Miłości.

Nadzieja Zmartwychwstania łagodzi doczesne cierpienie. Skrzywdzeni przez los podopieczni domów pomocy społecznej, niezdolni do samodzielnej egzystencji szukają w wierze logiki swego istnienia, a odtwarzane postacie alegorycznie utożsamiają mentalności ludzkie we współczesnym świecie. Pełno w nim przecież Anaszów, Kajfaszy, Piłatów i Judaszy. To klasyka charakterów ludzkich, ciągle obecnych i aktualnych - i wtedy, i dziś. Bo tak naprawdę to nie człowiek mieszka w świecie. To

świat mieszka w nas. Ruch kołowy w przyrodzie pozwala nam przezwyciężać biologiczne uwikłania i sięgać ku ponadludzkiemu światu wartości, to jest do wiary w dalsze życie, tylko na wyższym poziomie.

Mieszkańcy domów pomocy społecznej, pomimo fizycznej kruchości i podziurawionego przez chorobę życia, mogą być dla nas wzorem Pokory i Nadziei. Można powiedzieć, że Droga Krzyżowa ma dla nich wymiar zbawczy. Człowiek jest jedyną istotą na świecie, która wie, że musi umrzeć. Ta elementarna - wręcz elementarzysta - wiedza jest wystarczająco silna i sugestywna, by umieć odróżnić wartości zmienne od - niezmiennych, to jest próbować żyć na wzór Chrystusa. Przypominają się słowa Dostojewskiego: „Są tylko dwie najpiękniejsze postacie na świecie: Jezus Chrystus i Don Kichot. Pierwszy - jest nie-

dośćnionym wzorem człowieka, drugi - marzenia”.

Żeby łatwiej mi było zidentyfikować ludzi, dzielę ich na trzy grupy: zdiagnozowanych, jeszcze nie zdiagnozowanych i tych, którzy diagnozy już nie potrzebują. Obawiam się najbardziej drugiej grupy, bo ich stać na wszystko. Mieszkańcy DPS są zdiagnozowani. Gorzej z tymi innymi, którzy wielokrotnie potrzebują diagnozy, począwszy od etnicznej, intelektualnej, stopnia religijności, moralności, prawdziwości itp. To prawda, o taką identyfikację trudno, bo polityka - swoje, historia - swoje, nauka - swoje, a dogmaty - swoje. Zupełny obłąd.

Patrząc na Chrystusa opuszczonego, odkrywamy całą prawdę o sobie. Bóg przyszedł na świat tylko jeden raz. I ten jeden raz stał się Człowiekiem i pozwolił się ukrzyżować. Bo „Nikt nie ma miłości większej od tej, gdy ktoś życie oddaje dla przyjaciół swoich”. W każdym razie los człowieka zależy od drugiego człowieka. Powiedziałbym - wyłącznie. Gdybyśmy żyli nawet w cywilizacji fałszywych proroków, nie wolno nam pozostać obojętnym wobec drugiego człowieka, szczególnie jeszcze tego bardziej pokrzywdzonego przez los.

Inaczej - choć równie pięknie - ujął naszą wiarę A. Nowaczyński: „Kto kocha Boga - jest człowiekiem. Kto kocha człowieka

- jest półbogiem”. W naszym prywatnym i zawodowym życiu - choćby podświadomie - zgadzamy się z tą etyczną filozofią. Jak jednak oddać swoje zamierzenia, plany, aspiracje w służbie bliźnim?

O ile w społeczeństwie wiara ogranicza się najczęściej do sezonowej tradycji, o tyle my (w swej terapeutycznej pracy) - próbujemy przejść od Tradycji do Wiary.

Przyznaję - może prowokacyjnie - że postrzegam mieszkańców DPS (także moich podopiecznych) lepiej niż resztę naszego społeczeństwa. Są dla mnie mistrzami w rozpoznawaniu każdej „magii kłamstwa”. Niczego nie muszą - ani akceptować „dobrotliwej hipokryzji”, ani udawać kogoś,

Grupa „Buenos” ze Środowiskowego Domu Samopomocy w Słupsku podbiła swoim występem widownię i zajęła pierwsze miejsce na V Powiatowym Przeglądzie Kabaretów Wszelakich

„Obciach” w Kobylnicy

Przeгляд odbył się w sali teatralnej Gminnego Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy. Został zorganizowany przy wsparciu Starostwa Powiatowego w Słupsku i Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie. Na teatralnej scenie 2 kwietnia wystąpiło przed publicznością 16 kabaretów w trzech kategoriach - dziecięcej, młodzieżowej i dorosłych. Przyjechały z różnych



miejsowości i nie tylko z powiatu słupskiego. Imprezę otworzył starosta słupski - Sławomir Ziemianowicz oraz wójt gminy Kobylnica - Leszek Kuliński. Wśród gości znaleźli się m.in. wcestarosta - Andrzej Bury, Witold Stech - dyrektor Gminnego Zespołu Ekonomiczno-Administracyjno-Gospodarczego Szkół w Kobylnicy oraz radny powiatowy, członek Zarządu Powiatu Słupskiego - Andrzej Wojtaszek z Kwakowa.

Każdego roku kabarety walczą o statuetki „Chichoty” i nagrody rzeczowe. Tegoroczne jury w składzie: Katarzyna Sygittowicz-Sierosławska - instruktor teatralny Słupskiego Ośrodka Kultury, Piotr Merecki - redaktor Radia Koszalin, Daniel Kalejta - muzyk, instruktor muzyczny Młodzieżowego Domu Kultury w Słupsku nie miało łatwego zadania, bo poziom prezentujących się kabaretów był wysoki. Najlepszym

kabaretem w kategorii dziecięcej został kabaret „8 osób” ze Słupska. Drugie miejsce jury przyznało kabaretowi „U drzwi teatru” z Objazdy, a trzecie „Szpilce” z Miastka. Wy-

óżnienie w tej kategorii otrzymał kabaret „Narybek” z Łubna. W kategorii młodzieżowej nie przyznano pierwszego miejsca. Dwa drugie jury przyznało kabaretom - „Zwariowani bazarze” z Łubna i „Szalony indyk” z Objazdy, a III „Młodym gniewnym” z Łubna. Wyróżnienie za grę aktorską otrzymały - Agata Turowska i Ewelina Centkowska.

Natomiast w kategorii dorosłych widownię podbiła grupa „Buenos” ze Słupska i to ona zajęła I miejsce. Niewiele mniej braw zebrały zdobywczyni II miejsca - „Geriawitki” z Kobylnicy. Trzecie miejsce zajęły „Babeczki” z Motarzyna.

Występujące kabarety w Gminnym Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy zapowiedziały swój ponowny udział w przyszłorocznym kolejnym przeglądzie, z nowym repertuarem.

Tomasz Włodkowski
Kobylnica



kim nie są. Chcą być i są prawdziwymi i szczerymi ludźmi, z wszystkimi swoimi wadami, zdolnościami i zaletami. Bez zbędnych konwenansów i potrzeby kamuflowania czegokolwiek, szczególnie - dawania fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu! Przyznaję też, że lubię w ich towarzystwie przebywać najchętniej. Są zwyczajnie ludzcy. Być może kiedyś też podzielę ich los. Nie jestem głupcem, a tylko ten uważa, że go to spotkać nie może.

Niewiele się jednak ludzie od Jezusa nauczyli. Nadal pełno jest obojętności, bezinteresownej zawiści, krzywdzenia i zabijania - fizycznie lub psychicznie. Nadal w każdym pokoleniu uwalnia się „Barabaszów”,

a niewinnych skazuje na wojny. Człowiek potrafi „wywyższyć”! Nawet Jezusa! Bardzo chciałbym nie zgodzić się z Sartre, który uważał, że piekło - to drugi człowiek.

Najbardziej w kontekście rozważań o ludzkim cierpieniu i niesieniu swojego krzyża, pasuje mi genialna myśl naszej noblistki Wisławy Szymborskiej: „Nie używam rozpacz, bo to rzecz nie moja, a jedynie dana mi na przechowanie”.

W swojej zawodowo-etycznej pracy i z tak zwanym ludzkim podejściem czujemy się lokalnymi Cyrenejczykami, próbującymi ulżyć naszym podopiecznym w niesieniu swojego krzyża, i to - nie tyle z zewnętrznego nakazu - co, z wewnętrznej potrzeby.

Mieszkańcy domów pomocy społecznej w aspekcie swojej choroby i ograniczonej sytuacji życiowej - tym goręcej pragną i oczekują przyszłego, szczęśliwego życia. Na wzór ideału: „Tymczasem jednak Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy spośród tych, co pomarli” (1 Kor 15,20). Zainspirowane i zrealizowane wspólnymi chęciami Misterium Męki Pańskiej na górę „Rowokół” w Smóldzinie - uzupełniło oczekiwania naszych podopiecznych. Dostarczyło też satysfakcji wszystkim osobom za nich odpowiedzialnych.

Klemens Rudowski
DPS Lubuczewo

Festiwal odbył się 12 kwietnia br., jego uczestnicy rywalizowali w trzech kategoriach wiekowych. W składzie jury zasiadli wieloletni wykładowcy Akademii Pomorskiej w Słupsku - Jolanta Otwinowska jako przewodnicząca oraz Andrzej Machutta, a także przedstawicielka organizatora - Magdalena Suryś z Gminnego Ośrodka Kultury Gminy Słupsk. Już ocena dwunastu najmłodszych uczestników stanowiła nie lada problem. Laur pierwszeństwa przyznano zespołowi „Świerszcze” z Gminnego Ośrodka Kultury Gminy Słupsk za wykonanie utworu „Piosenka ekologiczna”. Zespół przygotowany został przez Beatę Frąckowską. Drugie miejsce zdobyła Agnieszka Hliwa ze Szkoły Podstawowej w Motarzyni za piosenkę „Motylem byłam”, a trzecie ex aequo - Klaudia Giez z Gminnego Ośrodka Kultury w Damnicy za szantę „Gdzie ta keja” oraz najmłodszy uczestnik festiwalu, faworyt publiczności - Eryk Skonieczny z Zespołu Szkół w Redzikowie za utwór „Wiosna”.

W ocenie drugiej grupy uczestników jury miało jeszcze większy problem. Dwudziestu trzech wykonawców prezentowało bardzo wysoki i wyrównany poziom. Za zgodą Zbigniewa Podolaka - dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury Gminy Słupsk, głównego organizatora przeglądu, jury poszerzyło pulę nagród i podzieliło wykonawców na dwie podkategorie: solistów i zespoły. Wśród solistów najlepszą okazała się Aleksandra Langowska ze Szkoły Podstawowej w Motarzyni, która zaśpiewała utwór „Wiosna i deszcz”. Drugie miejsce zajął Kacper Haincz ze Szkoły Podstawowej w Łupawie za utwór „Chciałbym”, a trzecie ex aequo zajęli - Weronika Kalinowska z Zespołu Szkół w Sycewicach za „Stan pogody” oraz Konrad Krupiński z Zespołu Szkół w Objeździe za „Sen psa”. Wśród zespołów palma pierwszeństwa przypadła reprezentantom Szkoły Podstawowej we Wrześciu prowadzonym przez instruktora Łukasza Cysewskiego. Wykonali utwór w języku francuskim „Vois sur ton chemin” z podziałem na głosy. Drugie miejsce zajął zespół „Trio” z Potęgowa za utwór „Piosenka jest

Wiosna przyszła do Bierkowa

Blisko 150 uczestników, 46 wykonawców - solistów i zespołów rywalizowało w III Powiatowym Festiwalu Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej „Idzie Wiosna”



dobra na wszystko”, a trzecie zespół z Gałęzinowa za „Nutę z Ponidzia”.

W kategorii gimnazjalistów rywalizowało 11 wykonawców. Większość też zasłużyła na uznanie jury. I miejsce zajęła Marta Buschmann z Potęgowa za utwór „Modlitwa”, drugie Aneta Piecek z Zespołu Szkół w Objeździe za „Noc czerwcową”, trzecie ex aequo - Natalia Gąsiorska z Zespołu Szkół

w Objeździe za „Korzenie” oraz zespół „Presto” z Zespołu Szkół w Redzikowie za utwór „Ale jestem”. Wyróżniono Artura Uzara z Gminnego Ośrodka Kultury Gminy Słupsk i zespół „JEM” z Damnicy.

Grand Prix festiwalu zdobył zespół „Amiki” z Potęgowa za wykonanie piosenki „Dzień świata”.

Maciej Flisak, Głobino

czy na pewno żyjemy na jednej planecie?

Nauka i uczucia

14 lutego w Młodzieżowym Centrum Kultury w Słupsku odbyła się premiera filmu pt. „Hej, wy w kosmosie” w reżyserii Mariusza Kalukina

„Hej, wy w kosmosie” to też tytuł wiersza napisanego przez jednego z uczniów szkoły przysposabiającej do pracy w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Damnicy, który życie mieszkańców kosmosu wyobraża sobie całkiem normalnie. Co to znaczy żyć normalnie? To znaczy lubić kogoś lub coś albo nie lubić, śmiać się i złościć, przyjaźnić, mieć marzenia, płakać, kochać, tworzyć... Do tego potrzebny jest drugi człowiek. Damnicki ośrodek jest jak wielka rodzina. Jest miejscem, gdzie można wyrażać siebie w atmosferze akceptacji i zrozumienia. Tu też kiełkują talenty, a czasem zakwita miłość... Toczy się w pełni bogate i zwyczajnie, poplątane życie, z wszystkimi jego blaskami i cieniami.

O tym właśnie opowiada film - o dniu dzisiejszym wychowanków, o ich planach i marzeniach na przyszłość. Jest również zapisem procesu tworzenia się więzi pomiędzy reżyserem i bohaterami, poczynając od obserwacji, poprzez coraz większe wzajemne zaufanie, aż do prawdziwej przyjaźni. Stawia widzów wobec ciągle aktualnego pytania o podział na „normalnych” i „innych” - czy w naszym ko-

smosie jest miejsce dla wszystkich, czy na pewno żyjemy na jednej planecie?

Można było obejrzeć piękne obrazy sytuacyjne, m.in: bal karnawałowy, fragmenty lekcji i innych uroczystości, oraz zakończenie o wążku walentynkowym - przedstawiające parę już pełnoletnich i zakochanych wychowanków. Wszystko to wyreżyserował Mariusz Kalukin, który jest studentem IV roku realizacji TV w PWS-FTVIT im. L. Schillera w Łodzi na Wydziale Operatorskim. Fotograf, portrecista, organizator wystaw fotograficznych, pokazów slajdów i popularyzator fotografii analogowej. Współtwórca metody pedagogicznej z wykorzystaniem fotografii jako wzmocnienia pozytywnego u dzieci. Na co dzień autor zdjęć do programów społeczno-interwencyjnych i kulturalnych dla TVN24 i TVP. Dokumentalista z zamiłowania i społecznik z natury - w centrum jego zainteresowań zawsze znajduje się człowiek. Od dziecka portretował ludzi, a obecnie za pomocą kamery dokumentuje ich historie. W 2010 roku jego pierwsza animacja dokumentalna „Pierozki pani Stasi” była prezentowana w ramach festiwalu filmowego Planete DocReview.

Premiera filmu zgromadziła wielu widzów zainteresowanych tematem niepełnosprawności i umiejętnościami filmowymi młodego operatora, pochodzącego - jak się okazało - ze Słupska i zaprzyjaźnionego już na dobre z damnickim ośrodkiem. A wszystko to stało dzięki miłości do dziewczyny, która jest pracownicą ośrodka, i do której przyjechał. Na sali projekcyjnej zasiedli też sami młodzi bohaterowie filmu. Oni byli chyba nim najbardziej zafascynowani.

W. Gnatońska, M. Sawicka-Glinka
Damnica



Fot. Archiwum

Fot. Archiwum

Twórczość Nikifora Krynickiego jest przykładem malarstwa naiwnego, a nawet infantylnego. Notka biograficzna mówi o skomplikowanym życiorysie Epifaniusza Drowniaka - bo tak faktycznie nazywał się Nikifor - urodzonego 21 maja 1895 roku w Krynicy

Nikifor - krynicki

Jego matka Eudokia była analfabatką. Ojciec Nikifora był nieznanym. Z zachowanych dokumentów wynika, że niemowlę zostało ochrzczone w krynickiej greckokatolickiej cerkwi, ponieważ było łemkiem. Matka - głuchoniema i prawdopodobnie ułomna nazywała swego syna Nikifor, co prawdopodobnie pochodzi od Netyfor z języka łemkowskiego, i tak go wszyscy później wołali. On sam swoje obrazy podpisywał „Nikifor”, nie znając swojego nazwiska. Z braku prawdziwych danych w 1962 roku Powiatowa i Miejska Rada Narodowa nadała Nikiforowi nazwisko Krynicki i wydała dowód osobisty. Dopiero w 2003 roku, trzydzieści pięć lat po śmierci artysty, odnaleziono w archiwach parafii greckokatolickiej w Krynicy prawdziwą metrykę



W Miejskiej Bibliotece Publicznej Agnieszka Monika Polak zaprezentowała swoją debiutancką książkę pt. „Mimo wszystko”, opublikowaną przez Wydawnictwo Innowacyjne Novae Res

Mimo wszystko



Podczas spotkania autorka zaprezentowała również swój talent muzyczny. Agnieszka M. Polak była kiedyś związana ze Słupskiem, dzieciństwo i młodość spędziła na Pomorzu. Obecnie mieszka i pracuje w Lublinie. Ukończyła szkołę muzyczną oraz Wydział Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej,

trenuje karate, jest matką i żoną, pracuje w branży metalowej i pisze.

Motto jej debiutanckiej książki brzmi: „Jeżeli jesteś pełna kompleksów, nie lubisz swojego ciała i wydaje Ci się, że Twoje życie jest niekończącym się pasmem problemów, przeczytaj tę książkę!” Autorka przedstawia prawdziwą historię Ewy, niepełnosprawnej kobiety, która idzie przez świat z podniesioną głową, nie odwraca się od ludzi, nie tragizuje, mimo samotności, izolacji i przemijania.

- „Mimo wszystko” to historia prawdziwa. W książce zawarłam jedynie fakty, nie ma fikcji literackiej, są widoczne pewne elementy metafizyki, a imiona bohaterów są tylko nieznacznie zmienione. Moja książka jest pełna optymizmu - przekonuje autorka. - Tragedią w niej mogą być niektóre aspekty życia sensu stricto, ale nie życia Ewy, bowiem ona sama nie jest nastawiona do życia w sposób fatalny.

Dla mnie osobiście cudze nieszczęścia nigdy nie były budulcem do wyliczania własnych problemów, wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że należy spojrzeć na ludzi dotkniętych niepełnosprawnością w sposób bardziej obiektywny, nie użalać się nad nimi, nie dramatyzować, po prostu zaakceptować ich takimi, jakimi są w życiu. Przecież są tacy sami jak my. Jak mantrę powtarzamy wciąż słowa o zrozumieniu drugiego człowieka, o zrozumieniu samych siebie. I rzeczywiście, jak sama au-

torka twierdzi, pisanie książki było dla niej samej swoistą terapią.

- Spotkałam na swojej drodze Bożenkę (Ewę) i przez przypadek stałam się optymistką. Wyleczyłam się z pesymizmu, który odziedziczyłam po mojej mamie.

Autorka przekonuje, że uważny czytelnik najprawdopodobniej rozpozna zakodowane w książce prawdziwe treści, autentyczne postacie, rozpozna czas i miejsce. Zapewne ma rację w przypadku osób, które znają bliżej historię prawdziwą związaną z bohaterami. Ale nie to jest istotne. W literaturze pięknej zakodowane są niecodzienne treści, każdy czytelnik ma prawo do ich osobliwej interpretacji, identyfikacji z bohaterami

oraz wyrażania emocji. Gdy autor pozwoli na działanie wyobraźni, wówczas staje się wyjątkowy, powoli zaraża czytelnika swoim pisarstwem i będzie musiał pisać dalej.

Danuta Sroka, Słupsk



ki prymitywista

Nikifora wystawioną na nazwisko Epifaniusz (Epifan) Drowniak. Artysta zmarł 10 października 1968 roku i jest pochowany na cmentarzu w Krynicy. Został po śmierci obywatelem dwóch nazwisk i tak są znakowane pomniki i pamiątki po nim.

Brak jest potwierdzonych danych z okresu dzieciństwa i początków młodości Nikifora. Wiadomo jednak, że wyrastał w pewnej izolacji społecznej z powodu kłopotów z wymową i słabego słuchu. Pod koniec I wojny światowej zmarła jego matka i Nikifor został sierotą. Już wtedy powstawały pierwsze obrazki. Pozbawiony środków do życia, przez wiele lat żyjący jako żebrak, prowadził tułaczę życie, wędrując po wsiach i miasteczkach Galicji. Malował obrazki, wykorzystując z braku materia-



łu wszystko, co się nadawało - austriackie druki urzędowe, zużyte zeszyty szkolne, opakowania po czekoladkach i papierosach, papier pakunkowy. Malowane przez Nikifora obrazy są datowane na lata 1923 - 1925 i z tego też okresu pochodzą jego najstarsze zachowane zdjęcia. Ukazują Nikifora jako malarza z podręcznym warształem i wybranymi obrazami, m.in. z „Autoportretem w asyście dwóch malarzy”. Nikifor jest postrzegany jako wędrujący po Beskidzie malarz, który sprzedaje swoje prace, aby zdobyć podstawowe środki do życia. Mimo iż jego twórczość trafiała do profesjonalnych odbiorców, tak jak na przykład nabyty przez młodego studenta Akademii Krakowskiej Zygmunta Króla szkicownik z rysunkami beskidzkich cerkiewek, to jednak nie zmieniała się jego sytuacja życiowa. Radykalna zmiana w życiu artysty nastąpiła w 1930 roku po poznananiu malarza pochodzenia ukraińskiego, Romana Tury- na, który czynił systematyczne zakupy jego twórczości. Zakupiona przez niego ko-



Fot. W. Lipczyński

lekcja dzieł Nikifora została następnie udostępniona przyjaciółom malarza - innym malarzom w Paryżu. Prace Krynickiego - prymitywisty urzekły działających w Paryżu polskich kolorystów - kapistów. Kapizm był kierunkiem uprawianym w dwudziestolecie międzywojennym przez artystów zgrupowanych w Komitecie Paryskim, założonym przez Józefa Pankiewicza z krakowskiej ASP. Jego celem było między innymi niesienie pomocy studentom z Polski wyjeżdżającym na studia malarzkie do Francji. Kapiści byli zachwyceni twórczością artysty - samouka. Dzięki nim prace Nikifora trafiły na wystawę w galerii Leona Marseille. Tak nastąpiło odkrycie Nikifora na arenie międzynarodowej.

Jednak przełomowym momentem w światowej karierze artysty stała się pierwsza indywidualna wystawa w galerii Diny Vierny w Paryżu w kwietniu 1959 roku. Dała ona początek wielu następnym ekspozycjom malarstwa Nikifora na całym świecie. W Polsce największa retrospektywna wystawa

twórczości Nikifora została zorganizowana w warszawskiej „Zachęcie” w 1967 roku.

Na czym polega fenomen malarstwa Nikifora i jego wielkiej spuścizny? Ten prymitywny malarz pozostawił po sobie kilka tysięcy dzieł. Zdecydowana większość to akwarele. W tej technice zostały wykonane też prace pochodzące z okresu międzywojennego, uznane za najlepsze. W późniejszych latach Nikifor stosował także gwasze i kredki. Malował przeważnie seriami małego formatu pejzaże, widoki architektoniczne, wnętrza, sceny religijne, postacie świętych i portrety. Jego tematy szczególnie ulubione to dworce kolejowe i wijące się malowniczo między wzgórzami tory. Był zafascynowany koleją. Powstały obrazy „Tory kolejowe”, „Stacja Bihacz”, „Krajobraz z mostem kolejowym”. Prymitywizm dzieł Nikifora uwidacznia się w sposobie obrysowywania wszystkich elementów ukazywanych na obrazie, a następnie wypełnianiu płaszczyzn żywymi barwami. Szkice w ołówku, których artysta nie zdążył już wypełnić kolorem, pochodzą z ostatnich lat jego życia. W obrazach tego prymitywisty docenia się fantazyjność i róż-

Wie mogli poczuć s

„Gość w dom, Bóg w dom” - stare polskie przysłowie, jakże wymownie daje do zrozumienia rangę gościa i tłumaczy naszą polską gościnność, z której ponoć słyniemy w świecie. Ale nie zawsze tak jest i nie wszędzie

Na odgłos dzwonka u drzwi, na twarzach domowników często ukazują się wyraz zdziwienia, nawet strachu: ktoś to może być, taki niezapowiedziany? Domownicy nieufnie podglądają przez „Judasza”, kto stoi za drzwiami lub uchylają minimalnie drzwi zabezpieczone solidnym łańcuchem i albo wpuszczają gościa, albo odprawiają, skąd przyszedł. Na ogół tak reagują ludzie mieszkający w mieście. Jest to zachowanie całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę różne niemiłe zdarzenia, łącznie z napadami czy bardzo natrętnymi domokrążcami.

Dla mnie, kobiety mieszkającej całe życie na wsi, te miejskie obyczaje wydają się co najmniej dziwne. Tam wyglądało to zupełnie inaczej.

Najpierw oznajmiał gościa swoim szczerkamiem stróż domu i podwórka - poczciwy Brysio. Dawał znać czy jest to ktoś znajomy, sąsiad, dziecko, czy ktoś dalszy, kto akurat przychodzi z wizytą. Takie odwiedziny sąsiedzkie na wsi są bardzo częste i nie muszą być zapowiedziane, ludzie chcą ze sobą zwyczajnie pogawędzić, czasem wzajemnie się poradzić, ponarzekać,



norodność ujęcia, świeży, niepowtarzalny i harmonijny koloryt oraz ich dekoracyjność. Twórczość Nikifora na tle polskiej sztuki ludowej, a szczególnie na podstawie analizy malarstwa prymitywistów przedstawia się jako zjawisko artystyczne samorodne i niezwykle oryginalne.

W 1995 roku w willi „Romanówka” w Krynicy-Zdroju została otwarta stała ekspozycja prac artysty. Jej uzupełnieniem jest wystawa zmienna prac artystów nieprofesjonalnych. Zwiedzanie Muzeum Nikifora daje możliwość zapoznania się ze zróżnicowaną w czasie twórczością artysty zaprezentowaną w kameralnych wnętrzach i pokazującą najlepsze, uznane prace z okresu międzywojennego. Wielokrotnie Telewizja Polska przedstawiała film fabularny pt. „Mój Nikifor” Krzysztofa Krauzego z 2004 roku. Rolę Nikifora zagrała Krystyna Feldman z Poznania i stworzyła wspaniałą kreację. Scenariusz filmu został oparty na dokumentacji dostarczonej przez Mariana Włosińskiego, prawnego opiekuna Nikifora od początków lat sześćdziesiątych. Film ten pokazuje dzieje wieloletniej przyjaźni między artystą samoukiem, a jego opiekunem,

też malarzem, który uważał Nikifora za geniusza i poświęcił mu swoją twórczość oraz życie. Film wzbudził ponownie zainteresowanie twórczością Nikifora, przyczynił się do zorganizowania kilku wystaw oraz wznowienia niektórych publikacji dotyczących jego życia i sztuki, na przykład książki „Historia o Nikiforze” Eli i Andrzeja Banachowiczów, wydanej w Krakowie w 1966 roku i wznowionej w 2004 roku. W 2005 odsłonięto na krynickim deptaku, nieopodal wejścia do Pijalni Jana i do kolejki na Górę Parkową, pomnik Nikifora. Zbiegło się to z 110. rocznicą urodzin łemkowskiego artysty - samouka. Pomnik przedstawia Nikifora takim, jakim widziano go najczęściej - siedzącego na murku, w kapeluszu na głowie, z pędzlem w dłoni, pochylającego się nad malarskim warsztatem i w towarzystwie psa Hałki. Zaprojektował go prof. Czesław Dźwigaj.

Bardzo interesujący w życiu Nikifora jest wątek pomorski, do końca jeszcze niewyjaśniony. Jest on związany z akcją „Wisła”, podczas której Nikifor wraz z innymi łemkowskimi i ukraińskimi rodzinami został wywieziony na północny zachód Pol-

ski. Nie ma dokładnych danych, czy Nikifor trafił w okolice Szczecina, czy Kołobrzegu. Pozostawiona twórczość z tego okresu świadczy, że były to tereny nadmorskie. Dowodem jest między innymi akwarela „Port” - widok stacji kolejowej i nabrzeża portowego w miejscowości nazwanej przez Nikifora „Bołodziej” (być może chodzi o Kołobrzeg). Mimo że Nikifor był dwukrotnie wywożony, to za każdym razem samodzielnie i w sposób zaskakujący powracał z tułaczki do ukochanej Krynicy, nie zwracając uwagi na rygory dekretu o wysiedleniu.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Autor tego artykułu postawił sobie za cel wyjaśnienie, w jakich konkretnych miejscowościach Pomorza przebywał Nikifor, czy są świadkowie tych wydarzeń i czy istnieje w prywatnych rękach spuścizna malarska tego najwybitniejszego prymitywisty. Ma nadzieję na odnalezienie pomorskich korzeni Nikifora i świadków tych wydarzeń. W poszukiwaniu już historycznych faktów liczy na życzliwość czytelników „Powiatu Słupskiego” i wzajemny kontakt. Z góry dziękuje za każdą informację. (Z)

ie gorszi

przepowiedzieć pogodę. Kiedy jest wiele czasu, na przykład w niedzielę czy przy złej pogodzie pogawędki zamieniają się we wspomnienia z dawnych przeżytych lat. Starsi ludzie wspominają czas wojny, tych co zginęli, swoje ciężkie przeżycia, doświadczenia życiowe. Trzeba tylko dobrze nadstawić ucha, aby usłyszeć wiele ciekawych opowiadań, także o tym, jak dawniej, w latach 60. wyglądała praca nauczycielki wiejskiej. O tym opowie pani Irena Żydek z miejscowości Żelkowo. Pisałam już o niej w Powiecie Słupskim nr 11-12 (56-57) z listopada 2005 roku. Jej motto życiowe brzmi: „Żyć to znaczy być!”.

Przypomnę krótko tę wspaniałą postać. Mieszka ze swoim mężem w Żelkowie koło Słupska, gdzie prowadzi gospodarstwo agroturystyczne. Uprawia na swojej działce przydomowej, oprócz dorodnych warzyw z których robi smaczne przetwory nagradzane na pokazach zdrowej żywności, również niezliczone gatunki ziół, z których zasłynęła w powiecie. Jest to kobieta niezwykle usposobiona ciepło i gościnnie wobec ludzi znajomych i jeszcze nie znanych. Ma w sobie niezwykle dar zjednywania sobie przyjaciół, którzy nawet po latach o niej nie zapominają. Przykładem są jej dawne uczennice, które zawsze pamiętają w Dniu Nauczyciela o swojej Pani. Ona sa-



Fot. J. Maziejuk

ma wyraża się o dawnych swoich uczniach, jako o „promyczkach kochanych”. A oto jak wspomina pracę wiejskiej nauczycielki.

- Gdy przybyłam w roku 1963 do Szkoły Podstawowej w Żelkowie dzieci, z którymi spotkałam się chodziły do szóstej klasy. Wychowawczynią ich była pani Maja Bembnista. Prowadziła tę klasę od początku. Wychowawca wzorowy, czuły, dobry, systematyczny, opiekuńczy i wymagający. Mąż pani Mai był wówczas kierownikiem szkoły i został z dniem 1 stycznia 1964 roku oddelegowany do innej pracy - musiał opuścić szkołę. Za nim, z końcem tego samego roku poszła też pani Maja. Mnie powierzono obowiązki wychowawcy w tej klasie. Bałam się niezmiernie czy podołam, czy wywiążę się z obowiązku wobec tej wspaniałej grupki

dzieci, czy mnie polubią. Moje obawy szybko minęły, zaprzyjaźniliśmy się, polubiliśmy, nasze stosunki były prawidłowe. Dzieci były posłuszne i grzeczne. Dziewczynki pomagały prowadzić mi bibliotekę szkolną, organizować uroczystości szkolne i inne. Większość uczniów była naprawdę zdolna, wiedzę chłonęli jak gąbka wodę, nie miałam z nimi żadnych problemów wychowawczych. Praca w szkole dawała mi wiele satysfakcji i przyjemności, również współpraca z rodzicami układała się pomyślnie. Pokochałam moją szkołę i „moje dzieci”, chociaż warunki pracy nie były najlepsze. Szkoła mieściła się w poniemieckiej plebanii. Sale lekcyjne były różne - małe, większe, ogrzewane piecami kaflowymi, ciemne, okna miały nieszczelne, podłogi drewniane, które co tydzień prze-

mywano ropą. Gdy mróz doskwierał dzieci często musiały siedzieć w płaszczach na lekcjach. Dzielnie znosiły niewygody, najważniejsza była dla nich nauka i wiedza, którą im wpajałam. Zdawałam sobie sprawę, że te dzieci podejmą dalszą naukę w szkołach średnich w mieście, więc trzeba solidnie przygotować je do egzaminów. Poziom nauki w mieście był wyższy i nie chciałam, by moi uczniowie już na początku poczuli się gorsi od swoich rówieśników. Nie myliłam się, większość moich uczniów podjęła naukę w liceach, technikach, zdawali celująco egzaminy, inni podjęli naukę w szkołach zawodowych i dzisiaj są dobrymi fachowcami. Przez czterdzieści sześć lat interesowały mnie losy moich uczniów, ale i oni interesowali się mną. Byli zawsze blisko mnie, chociaż niektórzy mieszkali dość daleko, pisywaliśmy do siebie listy, kartki z pozdrowieniami, telefonowaliśmy, kiedy telefon stał się dobrem dostępnym dla każdego. Cieszyłam się ich powodzeniami, a martwiłam, gdy komuś stało się coś przykrego. Uczestniczyłam w uroczystościach, rodzinnych i zawodowych, bo zapraszali na nie swoją panią. Niektórzy, gdy dorośli zostali nadal mieszkańcami Żelkowa, zakładali swoje rodziny, rodziły się im dzieci. I tak się złożyło, że miałam szczęście uczyć jeszcze to drugie pokolenie. Dzieci moich uczniów również były mi bliskie i kochane, niczym własne wnuczeta.

Nasze coroczne spotkania z okazji Dnia Nauczyciela zawdzięczam w dużej mierze prawdziwej przyjaciółce o wielkim sercu, kochającej ludzi i świat - Alicji Suryś z domu Wójcik. Ostatnie nasze spotkanie wreszcie doszło do skutku w tym roku, bo wcześniej ciągle stało coś na przeszkodzie - a to wyjazdy, a to choroby. Wprawdzie nie udało się wszystkich zebrać, przybyły tylko same dziewczęta - dzisiaj panie Lonia Handzlik z domu Karpińska, Jadzia Ogórczak-Bohdanowicz, Gienia Kulas-Ziatyk, Ewa Rachwał-Maciak, Mira Ostapiuk-Żydyk, Ala Suryś-Wójcik, to radość też była ogromna i szczerą. Ewy nie widziałam przez czterdzieści sześć lat! Moje „dziewczynki” były w ten dzień ze mną jak dawniej - ożyły wspomnienia, dawne szkolne żarty, niektóre wyjaśniły się dopiero teraz po latach, śpiewaliśmy dawne szkolne piosenki, poczułam się jakby mi ubyło wiele lat. Chciałabym zorganizować jeszcze wiele takich spotkań, oby tylko pozwoliło zdrowie. Takie spotkania urządzam też z młodszymi rocznikami. Każde przeżywam z radością, cieszę się, że choć przez kilka godzin mogę znowu poczuć się młodo.

Panią Irenę odwiedziłam w tym dniu i byłam świadkiem tych serdecznych powitań, z naręczami róż, upominkami. Tak witały uczennice swoją dawną Panią, a ona zgodnie z drugą swoją życiową maksymą: „Gość w dom, Bóg w dom!” wszystkie serdecznie podjęła i bardzo ucieszyła się z tej wizyty.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

Kobieta PRL-u w s

Zofia Nasierowska specjalizowała się w fotografii portretowej, nie tylko kobiet, mężczyźni na jej portretach wyglądają równie imponująco

Wielu współczesnych Polaków kojarzy kobietę PRL-u z Matką Polką i przodownicą pracy, pomijając przy tym aspekt piękna oraz kobiecego szyku. Z okazji marcowego święta kobiet zespół Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku przygotował wystawę, która ukazała kobietę w dwóch obrazach - zjawiskowej piękności i pracowitej dziewczyny. Inauguracja wystawy mogła się odbyć dzięki wsparciu finansowemu Starostwa Powiatowego w Słupsku oraz Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie.

Wyjątkową urodę kobiet zdołała uchwycić w sposób niesamowity „królowa portretu polskich gwiazd”, Zofia Nasierowska. Wystawa pochodząca z kolekcji słynnej polskiej fotograficzki została udostępniona w Czytelni Głównej Biblioteki i można było ją podziwiać do 30 kwietnia. Zofia Nasierowska specjalizowała się w fotografii portretowej, nie tylko kobiet, mężczyźni na jej portretach wyglądają równie imponująco.

- W domu mieliśmy ogromną szafę, którą kupiliśmy na wyprzedaży w Ambasadzie Amerykańskiej, gdzie Zosia trzymała wszelkie dodatki, którymi zdołała swoje modelki i modele - wspominał Janusz Majewski, mąż Zofii Nasierowskiej, obecny podczas otwarcia wystawy w bibliotece. Nasierowska fotografowała krajobraz, robiła reportaże, ale zawsze najbardziej pasjonował ją portret. Znana była jako autorka wytwornych, czarno-białych fotograficznych portretów znanych osób warszawskiego świata. W latach 60. fotografowała artystyczny polski panteon: od Beaty Tyszkiewicz i Poli Raksy po Gustawa Holoubka i Stanisława Dygata z żoną Kaliną Jędrusik. Nie mieć fotografii u Nasierowskiej znaczyło jakby nie istnieć. Zofia zmarła 3 paździer-



nika 2011 roku w Warszawie, pozostawiając po sobie wiele wspaniałych wspomnień oraz fotografii.

Ekspozycja portretów jej autorstwa znalazła się w Słupsku dzięki życzliwości Hanny Mirskiej-Grudzińskiej z Wydawnictwa Marginesy z Warszawy oraz Janusza Majewskiego. Należy dodać, że wydawnictwo to opublikowało książkę Zofii Turowskiej pt. „Nasierowska: fotobiografia”. Uroczyste otwarcie połączono z promocją tej książki oraz „Siedliska” Janusza Majewskiego. Imprezę uświetniła obecność autorów wspomnianych publikacji. Zofia Turowska jest nie tylko autorką biografii Nasierowskiej, ale również bestselleru „Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką” i sagi rodziny Onyszkiewiczów „Gniazdo”; współautorką reportażu/dokumentu o wydarzeniach w Stoczni Gdańskiej w 1980 roku „Kto tu wpu-

Słupskiej bibliotece

ścił dziennikarzy?”, faktograficznych powieści: o łódzkiej Szkole Filmowej „Filmówka” oraz Zespole Filmowym „TOR”, biograficznej opowieści Beaty Tyszkiewicz „Nie wszystko na sprzedaż”. Janusz Majewski - lwowiak, to pisarz, scenarzysta, arystokrata kina, reżyser „CK Dezerterów”, „Zaklętych rewirów”, niedawnej „Małej matury 1947”.

Radkowskiego oraz Stanisława Linkiewicza z Oddziału Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Słupsku.

Niespodzianką dla publiczności był występ artystyczny grupy teatralnej BUQA SQUAD z IV LO im. K. K. Baczyńskiego w Słupsku, pod kierunkiem Joanny Korzeniowskiej-Klaji i Anny Piliszczuk. Uczestnicy mieli niepowtarzalną okazję ujrzeć kobiety oczyma współczesnego młodego pokolenia. Dzięki uprzejmości Mariana Zielińskiego bibliotekarki wystąpiły w sukniach z poprzedniej epoki, której właścicielką była Barbara Zielińska - zjawiskowa, utalentowana słupska pianistka. Jak przystało na Dzień Kobiet, nie mogło zabraknąć w tym dniu goździków, którymi zostały obdarowane panie obecne na imprezie. Aby przybliżyć epokę PRL-u, podczas trwania wystawy zaplanowano organizację spotkań ciekawych osobowości regionu z młodzieżą Słupska i powiatu słupskiego.

Jakie było życie codzienne kobiety w tamtym systemie, trudno sobie dzisiaj dziewczynom wyobrazić. Namiastkę PRL-u mogły zobaczyć w bibliotece. W tamtej epoce kobiety były zmuszone wiele godzin odstać w kolejkach, aby móc w chwili kulminacji (dojścia do lady) brać

Fot. J. Maziejuk

wszystko co było dostępne w tym dniu w sklepie. Niekiedy w kolejkach stały kilka dni, gdy w gospodarstwie domowym brakowało pralki „Frani” czy kolorowego telewizora „Rubin”. Musiały być silne, aby wytrzymać nieuprzejmość ekspedientek, często zmęczonych tłumem. Zdarzały się towary spod lady, które zarezerwowane były dla szczęśliwych wybrańców. Jakaż była radość kupującego, gdy wzięt do ręki upragniony krawat, po kilkutgodniowym nań polowaniu, czy wciskał na stopę zbyt ciasne buty, które jedynie w takim rozmiarze były dostępne na kartki. Sprzedawczynie były podobne do naburmuszonych cesarzowych, przed którymi i profesor, i górnik musiał się kajać. W ten sposób została zrealizowana jedna z głównych zasad systemu, która głosiła równość obywateli.

W bibliotece opowiedział o swojej książce „Siedlisko”, skupiając szczególną uwagę na wspomnieniach utalentowanej żony - Zofii Nasierowskiej. Prócz portretów Nasierowskiej na wystawie można było podziwiać dzielność duchową i fizyczną kobiet pracujących, które spoglądają z plakatów minionej epoki. Jan Maziejuk udostępnił bibliotece wiele autorskich zdjęć, na których widnieją uśmiechnięte kobiety z PRL-u. Być może w przyszłym roku zaprezentowane zostaną w bibliotece „Portrety kobiet z kolekcji Jana Maziejuka”. Ciekawostką dla zwiedzających był również zbiór sprzętu elektronicznego, kobiecych bibelotów, zabawek i przedmiotów codziennego użytku z czasów PRL-u. Ponadto wystawa została wzbogacona o medale, monety i banknoty z lat 1950 - 1990 z wizerunkiem kobiet z kolekcji Jana

ne w tym dniu w sklepie. Niekiedy w kolejkach stały kilka dni, gdy w gospodarstwie domowym brakowało pralki „Frani” czy kolorowego telewizora „Rubin”. Musiały być silne, aby wytrzymać nieuprzejmość ekspedientek, często zmęczonych tłumem. Zdarzały się towary spod lady, które zarezerwowane były dla szczęśliwych wybrańców. Jakaż była radość kupującego, gdy wzięt do ręki upragniony krawat, po kilkutgodniowym nań polowaniu, czy wciskał na stopę zbyt ciasne buty, które jedynie w takim rozmiarze były dostępne na kartki. Sprzedawczynie były podobne do naburmuszonych cesarzowych, przed którymi i profesor, i górnik musiał się kajać. W ten sposób została zrealizowana jedna z głównych zasad systemu, która głosiła równość obywateli.

Danuta Sroka, Słupsk

KALENDARIUM

30 marca w Szkole Policji w Słupsku odbyła się VIII konferencja z cyklu „Zdrowie dzieci i młodzieży” pt. „Podaruj życie. Transplantologia”.

31 marca w Zespole Szkół Samorządowych w Kobylnicy zorganizowano II Kobylnickie Targi Edukacyjne.

2 kwietnia w Gminnym Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy odbył się V Powiatowy Przegląd Kabaretów Wszelakich „Obciach”.

4 kwietnia w Szkole Podstawowej w Kończewie wręczono nagrody laureatom XIII Wojewódzkiego Konkursu Plastycznego „Wielkanoc na Pomorzu”.

5 kwietnia w Urzędzie Marszałkowskim w Gdańsku podpisano list intencyjny o wspólnej realizacji projektu pn. „Zdolni z Pomorza”.

12 kwietnia w Szkole Podstawowej w Bierkowie odbył się III Powiatowy Festiwal Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej „Idzie Wiosna”.

14-15 kwietnia w Ośrodku Doradztwa Rolniczego w Strzelinie odbyły się Targi Ogrodnicze „Wiosna 2012”.

16-17 kwietnia w Akademii Pomorskiej i Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku spotkali się na IV Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej z cyklu Rzeczpospolita Domów naukowcy z kilkunastu uczelni w Polsce.

17 kwietnia w hali Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. M. Kopernika w Ustce odbył się III Turniej Piłki Siatkowej o puchar Starosty Słupskiego.

20 kwietnia wiejscy poeci z Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie” spotkali się w ramach Przystani Poetyckiej w Niepogledziu z młodzieżą szkół podstawowych i gimnazjów gminy Dębница Kaszubska.

20 kwietnia w Słupsku odbyły się jubileuszowe obchody 40-lecia Oddziału Słupskiego Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego. (G.Ś.)

Pisma, pisemka i... piśmidetka

Chodzi o różnej maści bezpłatne słupskie gazety niezależne (w przeważającej mierze ewidentnie merkantylne dwutygodniki, liczące - z mnóstwem zdjęć oraz typowych reklamówek i tzw. ogłoszeń drobnych - po circa 16 kolumn, udostępniane mieszkańcom przez wynajętych kolporterów lub - z reguły - systemem „dystrybucji parapetowo-korytarzowej”)

Ukazuje się u nas w chwili obecnej, jak poinformowała Malwina Netzel z biura rzecznika prezydenta miasta, 5-6 (wraz z niniejszym biuletynem i novum pt. „Ziemia Słupska”) takich pism, pisemek. Słowo się rzekło: różnej maści. A więc i wspomnianych w tytule piśmidet.

Żeby nie być gołosłownym. Przykład pierwszy z brzegu: gazetka (delikatniej) „NN” (ze względów grzecznościowych) nr 207 (jedyny „trop” dla zainteresowanych). Tytuł, który wpadł mi w ręce przypadkiem (powód? mało bliski profesjonalście z 55-letnim stażem rodzaj prasy). Przejrzałem w drodze via Lębork, Gdańsk. Doprawdy włos się jeżył. Rażący, ba! kompromitujący błąd za błędem. I to u... samego szefa redakcji.

Garść cytatów, które nie mogą wprost nie porazić Czytelnika - nawet ucznia zapytałej wiejskiej szkółki.

Str. 16: Specjalne podziękowania dla /.../ głównych Mikołai (wg „Słownika poprawnej polszczyzny PWN” autorstwa prof. H. Doroszewskiego: D. Mikołajów!).

Str. 9, rozmowa dziennikarska „Z optymizmem w przyszłość”. Cyt. Namawiam do sięgnięcia, do I części wywiadu z panem wójtem Leszkiem Kulińskim /.../ Moje PS. Pan wójt (także premier, prezydent) jest zwrotem zastrzeżonym tylko do formy interpersonalnej!

I dalej: Sen z oczu wielu włodarzom gmin spędzają wydatki na oświatę. Większość /.../ likwiduje szkoły myśląc, że to coś pomorze /.../ Moje „trzy grosze”: Gierkowskie „Pomożecie?” bardziej skutecznie jak przywołany 1055-stronicowy (!) leksykon uzmysłowiło wszem i wobec między konotacjami: to coś pomoże, Pomorze. Chochlik drukarski? Stare, dawno przebrzmiały czasy - wie dzisiaj, sądzę, każdy „śmiercielnik”...

Kolejna „perełka” (cały czas z zachowaniem interpunkcyjnej nonszalancji): Ja nie bardzo rozumię, jedni likwidują szkoły a Kuliński wręcz odwrotnie - rozwija bazę. PS. Darowałbym Wałę, sie zwyktemu robotnikowi, jego Nie chcem, ale muszem. Jednak Panu, Redaktorze Naczelny, wypada tylko powiedzieć: Non licet...

Wreszcie „kwiatek”, od którego można pękać ze śmiechu. Cyt. Przecież wiemy oboje /.../ W czym rzecz? Odpowiedź - w „Słowniku”, s. 424: Obie - ż., obaj albo obydwaj - m., oboje - dot. dwu osób różnej płci. Współczuję zaprzyjaźnionemu i bardzo cennemu wójtowi...

Jeszcze więk-

szy „majsterszyk publiczystyczny”

w gazetce, o której mowa, upatruję we fragmencie „Tęczowych Z-

duszek” przedstawiających histo-

rię Państwowe- go Teatru Lalki oraz

biografie zmarłych artystów i pracowników „Tęczy”. Na str. 6 znajdu-

je się tekst „Jan Węglarski, długoletni lalkarz... W szesnastą rocznicę śmierci” autorstwa kierowniczk

literackiej (!) PTL, pod pieczę wydawcy książki i szefa redakcji „NN” w jednej osobie (sic!)

Publikacja zawiera b. obszerny i drobiazgowy życiorys „tęczowca”, od... więzi rodzinnych, początków edukacji szkolnej 7-latka etc.

Drobiazgowo (90 proc. materiału!) przedstawiona jest cała późniejsza droga życiowa p. Sławka (takim imieniem się posługiwał). Z karygodnymi, bez przesady, „wpadkami” rzeczowymi (Nie było w PRL Związku Młodzieży Walczącej! Skąd u bohatera Medal Mieszkańca Słupska - tyleż wymaginowane, co śmieszne odznaczenie?). Ze stylistyką przyprawiającą o zawrót głowy. „Kwiatek” na chybił trafił (błędy wyłuszczone). Ze Słupskiem związany od roku 1948, kiedy to na skutek własnej prośby zwolnił się z dotychczasowego stanowiska i został przeniesiony do pracy w Aparacie ZMP. Pełnił tam (w ZMP?! - dop. niżej podp.) funkcję Kierownika Wydziału K.O. i Instruktora Polityczno-Wychowawczego w Instytucji Wojskowej /.../ Z ubarwieniem człowieka teatru (m.in. organizatora pracy artystycznej, gospodarza imprez parateatralnych, specjalisty ds. przygotowywania widowisk i objazdów placówek na Pomorzu w latach 1968 - 1990, a de facto do chwili śmierci) curriculum vitae politruka, handlowca, projektanta dekoracji i reklam. Pośród najbardziej znaczących dokonań w „Tęczy” odnotowuje autorka CV: W 1979 roku ukończył Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu przy Komitecie Wojewódzkim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Słupsku z oceną ogólną bardzo dobrą /.../ Jako aktywny działacz

partyjny i związkowy, członek PZPR oraz Vice Przewodniczący (wiceprzewodniczący! tak jest w każdym słowniku) Rady Zakładowej przy PTL „Tęcza” był osobą aktywną /.../ Pełnił także w Teatrze „Tęcza” obowiązki I sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej intensywnie uczestnicząc w życiu politycznym i społecznym Słupska /.../

Tyle. Aż tyle za dużo, bez sensu quo ad meritum, w przerażającej - darują mi Czytelnicy ostrość słów - zapaści językowej polszczyzny!

Mimo wszystko - parafrazując hołubioną przez prof. Bartoszewskiego dewizę Stanisława Lema - warto było. Poczytać, skonstatować. W jakim celu? Ot, na przykład, żeby wiedzieć, „co w trawie piszczy”.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Kto z nas nie marzy o pięknej miłości, szczęśliwej, kochającej rodzinie i wspólnie przeżytej starości - najlepiej we dwoje. Czy można w pełni opisać i wyrazić słowami to najpiękniejsze uczucie? Wielu już próbowało, ale nie zawsze dawało to pożądany efekt. Miłość potrzebna jest każdemu, bez względu na status, zasobność portfela czy liczbę przeżytych lat. Od zarania dziejów człowiek urodził się po to, żeby kochać i być kochanym. Odcieni miłości mamy wiele. Można darzyć tym uczuciem wielu i na miliony sposobów. Miłość to coś kosmicznego. Gdy jesteśmy zakochani to zachodzą w nas różne dziwne zmiany. Nie możemy skupić się na wykonywanych zajęciach, brak nam koncentracji w szkole, w pracy. Po prostu fruwamy w obłokach. Cały czas nasze myśli płyną w stronę osoby, która jest dla nas wyjątkowa, niepowtarzalna i jedyna. Chociaż niejednokrotnie doświadczamy bólu, to wiemy, że czasem cenna jaką płacimy, jest opłacalna. Wiele jesteśmy w stanie wybaczyć ukochanej osobie i dać jej tym samym kolejną szansę na poprawę. Warto żyć dla miłości, bo bez niej świat byłby piekłem na ziemi.

Współczesna kultura i idąca z nią w parze moda daje wiele możliwości na celebrowanie uczuć. Jednym z takich pomysłów są popularne dzisiaj Walentynki, obchodzone 14 lutego, w dniu patrona zakochanych - św. Walentego. Jeśli natarczywa komercja nie przysłoni tego, co w tym święcie jest najpiękniejsze, to nawet można go zaakceptować. Jedni pewnie nie nawidzą 14 lutego, a drudzy wyczekują z utęsknieniem. Mnie się nie podoba to, że coraz rzadziej pamiętamy o walentynkowych kartkach. Żyjemy w dobie Internetu, coraz to nowszych wynalazków i udogodnień. Wszystko to pojawia się z myślą, by żyło się nam lepiej, łatwiej i wygodniej. Ale czy rzeczywiście tak zawsze jest? Zastanawiam się, czy nie sympatycznie byłoby otrzymać taki miłosny list, czasem od tajemniczego wielbiciela, w dodatku na pachnącym papierze? Uważam, że zawsze warto wracać do tego, co już sprawdzone.

Pierwszą walentynkę wysłał do swojej ukochanej żony Karol Orleański. Było to w 1415 roku. Z biegiem lat, coraz bardziej uatrakcyjniano pielęgnowanie uczuć. Zaczęto wzbogacać je drobnymi upominkami, które cieszyły i sprawiały niebywałą radość, zwłaszcza płci przeciwnej. Kobiety zawsze cechował silny romantyzm. Czy chcemy tego czy nie, taka jest już ich natura. Już starożytne Rzymianki wiedziały, że świat nie może istnieć bez kobiet. Dlatego potrafiły się tak zorganizować, by mężczyźni musieli o nich pamiętać. Były to początki tzw. kobiecej solidarności. Tej machiny już nikt i nic nie było w stanie zatrzymać. Oczywiście, po drodze zdarzały się różne „wpadki” i perturbacje, jednak nie przesłoniły one w ostateczności idei wyzwolenia.

Wyrazem tego było nadanie kobietom praw wyborczych, pozwolenie na

Świat kobiety zawsze okrywała zasłona tajemniczości i niedostępności. Panie najczęściej pragną miłości i dla niej gotowe są na wiele wyrzeczeń. Tylko, żeby to było wszystko takie proste

Bojowniczki o słuszną sprawę



Fot. J. Maziejuk

większą aktywność w życiu społecznym i politycznym, na głośne mówienie o swoich oczekiwaniach. Międzynarodowy Dzień Kobiet zainicjowała niemiecka socjalistka Klara Zetkin. Początek tego święta sięga roku 1857, kiedy to w Stanach Zjednoczonych miały miejsce organizowane strajki i manifestacje w obronie praw pracowniczych. Następnie, idea 8 marca coraz bardziej rozszerzała się na wiele innych państw. W Polsce idealny czas dla tego święta przypadł w okresie Polski Ludowej. Z łezką w oku wiele pań wspomina tamten okres. Dziś już jest trochę inaczej. Brakuje czegoś, być może

atmosfery? Kobiety dotyka coraz więcej problemów finansowych, duże bezrobocie, w ogóle coraz więcej rodzin ma ciężką sytuację ekonomiczną. Dlatego tym bardziej nie powinno brakować spontanicznej radości i uśmiechu.

Obecnie 8 marca najchętniej świętują przedszkolaki, przygotowując z całą starannością okolicznościowe laurki. Nie brakuje im pozytywnych emocji. Jest przy tym dużo radości i zabawy. Młode panie bardziej preferują przysłowiowego kwiatka dla Ewy, a nieco starsze bardziej pragną spokoju i wytchnienia. Natura kobiety zawsze była i pozostanie skomplikowana, zwłaszcza dla nas, mężczyzn. Żadne słowo nie odda ich wnętrza. Kto odgadnie, co czuje kobieta, gdy jednocześnie kocha i nienawidzi? Chyba tylko potrafi to zrobić druga kobieta.

Jak bardzo mylił się poeta, pisząc: „Kobieto - puchu marny”. Piękna płęć była i jest dla wielu miłośników pióra żywą inspiracją, natchnieniem oraz motorem wielu działań. Jej obecność sprawia, że zapominamy o niepokojach i lękach. Czujemy spokój i bezpieczeństwo. To idealne antidotum na szare życie. Jej romantyczne wnętrze pozwala lepiej postrzegać świat. Sprawia, że pomaga postrzegać go piękniejszym i w jasnych barwach. Trzeźwe myślenie doradza jak unikać życiowych zawirowań.

I chociaż my, panowie nie musimy się z nimi zgadzać w wielu kwestiach, to doskonale uzupełniamy się na co dzień. Nie wyobrażamy sobie życia bez kobiet. I chociaż niejednokrotnie nasze czyny zaprzeczają temu, to jednak w skrytości własnego wnętrza jesteśmy im bardzo wdzięczni. Dziękujemy, że są, istnieją i... nas kochają.

Jacek Kopyłowski
„Gazeta Mówiona”, Słupsk

Jak pan Janek znalazł

U mówiłem się z werbownikiem na dworcu następnego dnia. On miał załatwić bilety, ja swoje sprawy. 17 stycznia 1956 roku w mroźne popołudnie wsiedliśmy do pociągu z biletami do Miastka w województwie koszalińskim. Podróż dłużyła się, koła dudniły jednostajnie, w końcu obu nas zmorzył sen. Kiedy obudziliśmy się, w przedziale byliśmy sami, bez bagażu. Przepadł mój dobytek zamknięty w niewielkiej drewnianej walizce! W Miastku wysiadłem z rękami w pustych, dziurawych kieszeniach. Mój towarzysz podróży poszedł do toalety i też przepadł. Kim naprawdę był, nie wiem.

Dworzec wydawał mi się imponujący. Czerwona cegła, duże przestrzenie. Ale miasto z jedną lichą ulicą i majakami kominów na horyzoncie nie zachwyliło mnie. Może sposób widzenia oddawał tylko nastrój tamtego styczniowego, pochmurnego dnia. Idąc przed siebie, trafiłem do urzędu, gdzie skierowano mnie do referatu zatrudnienia. Tu otrzymałem pouczenie, że w mieście nie mam co liczyć na robotę z mieszkaniem. Potrzebują pracowników w pegeerach i leśnictwie. A mnie marzyła się praca w fabryce! Wyszedłem z niczym. Noc spędziłem na dworcowej ławce przy grzejniku. Myśli kłębiły się, nie mogłem spać, byłem zły, że dałem się wywieźć, i wywieźć nie wiadomo gdzie. Co mam zrobić? Rankiem ruszyłem do Kamnicy. Piechotą. Skąd ten pomysł? Nazwę usłyszałem w urzędzie, a decyzję, jak w takich razach bywa, podjął za mnie los. Gdzieś musiałem znaleźć miejsce dla siebie.

W miejscowym PGR przyjęto mnie entuzjastycznie. Miałem wrażenie, że od dawna na mnie czekają. Krótkie formalności, pod pachę wyprawka w postaci koca, pościeli i roboczego ubrania i instrukcja, jak trafić do miejsca zamieszkania. Przedeflowałem przez wieś zadowolony z powitania. Znalazłem się w obskurnym budynku i stromymi schodami wspiałem się na poddasze. Zapukałem.

- Włazić! - usłyszałem. Kiedy wetknąłem głowę, mężczyzna dodał:

- Właż, zimno leci.

W niewielkim pokoju kilku mężczyzn grało w karty. Pod stołem stała kuchenka elektryczna z rozżarzoną spiralą, przy której grzały się gumowe buty. Było piekielnie zimno, bo nikomu nie chciało się napalić w piecu. Całą noc szczękałem zębami i słuchałem dosadnego języka karciarzy.

Rano w biurze przydzielono mnie do pracy w zakładzie naprawczym, jako ślusarza. Starzy wyjadacze szybko ocenili moją wiedzę. Wysłali mnie do sklepu spożyw-

Zaczął się w Lublinie. Przeczytałem ogłoszenie ZMP o naborze młodych do pracy na Ziemiach Odzyskanych. Spotkanie odbyło się w dużej sali, było trochę ludzi, ale tylko ja zdecydowałem się na wyjazd. Nie miałem nic do stracenia



Fot. Archiwum J. Maziejuka

czego po kompresję. Uprzejma sklepowa wytłumaczyła mi, że to małe sklepienie i takiego towaru nie ma, ale w Miastku jest lepsze zaopatrzenie i z pewnością kupię, co mi potrzebne. Powtórzyłem majstrowi radę sklepowej. W warsztacie zapanowała ogólna wesołość, a ja stałem zdziwiony.

Potem byłem ostrożniejszy. Wkupiłem się w towarzystwo, z grubsza poznałem robotę i już nie dałem sobie w kaszę dmuchać. Przez zimę remontowaliśmy ponemieckie gruchoty. Później z Marianem Mączkowskim jako robotnicy zakładu remontowo-budowlanego ursusem z przyczepami woziliśmy materiały budowlane ze stacji w Miastku na budowy w różnych miejscowościach. Poczulem wtedy smak

ciężkiej fizycznej pracy. Nie przesadzam, mówiąc smak, bo sypkie wapno przy rozładunku wagonu wdzierало się do ust, oczu, nosa. Mimo to nie narzekałem. Poznawałem ludzi i okolice, widziałem jak wszyscy ciężko pracują i skromnie żyją. Miałem pierwszych prawdziwych przyjaciół. Coraz mniej tęskniłem za rodzinnymi stronami.

Kamnica, niemiecka Kamnitz (wówczas województwo koszalińskie, powiat Miastko) jest niewielką wsią, w której jedynym zakładem pracy był PGR, a ozdobą myśliwski pałacyk z początku XX wieku. Przez lata należał do miejscowego PGR, popadając razem z nim w ruinę. Ludzie we wsi pochodzili z Buga, z Wielkopolski, Galicji, byli też Kaszubi i autochtoni. Do połowy

lat pięćdziesiątych w miejscowej szkole uczyły się dzieci polskie i niemieckie, każde w swoim języku. Bolek ożenił się z Niemką, Tadek pochodził z Galicji, Marian z Wielkopolski, mnie uważano za Kongresowiaka. W myśl zasady: każda myszka swój ogon chwali, często sprzeczcaliśmy się, czyje pochodzenie jest lepsze. Najbardziej było Marian, bo zarzucaliśmy mu pronieemieckie sympatie. Między mieszkańcami dochodziło do swarów kończących się niejednokrotnie bijatyką. Teraz myślę, że trzeba było wiele przeżyć, byśmy żyli się i Ziemi Odzyskane traktowali jak swój dom.

Któregoś dnia w zakładowej stołówce zagadnęła mnie przewodnicząca związków zawodowych zespołu PGR w Kamnicy.

zł dom

w odwecie za węgrów postanowiliśmy rozstrzelać stalina

Zawsze w oficerkach i bryczesach sprawiała wrażenie energicznej i pewnej siebie. Pamiętała mnie jako sportowca z Jagodnicy, bo jak się okazało przyjechała z Białej Podlaskiej, gdzie była opiekunką zespołów LZS. Powierzyła mi etat kulturalno-oświatowego i prowadzenie zakładowej świetlicy. Zamieszkałem w pałacyku, gdzie urządzono radiowęzeł. Moim obowiązkiem było włączyć rano o piątej program radiowy i wyłączyć o dwudziestą drugiej. Dwa razy w tygodniu o siedemnastej nadawałem własny autorski program. Było to nie lada wyzwanie. Myślę, że mieszkańcy Kamnicy wyłączali wtedy głośniki. Nie miałem żadnego pojęcia o pracy dziennikarskiej, a moja dykcja, o czym ja mówię, jaka dykcja! Nikt jednak mnie nie krytykował, a niektórym się podobało. Przedstawiałem życie i troski mieszkańców, tak jak wtedy można było. Ludzie słuchali, ale słyszeli to, o czym się nie mówiło. Może świat tak urządzony, że nasze doświadczenie rzadko spotyka się z jego oficjalną wersją?

Marian Mączkowski w swoim Dzienniku zapisał pod datą 28 października 1956 roku: Nasz Janek codziennie nadaje przez radiowęzeł komunikaty o zwiększonych dostawach zbóż, mleka, żywca. I ma się wrażenie, że nasze krowy i świnie rozumiały powagę sytuacji. Kukurydza, co prawda nie udała się, część kartofli leży jeszcze w ziemi w niektórych gospodarstwach, ale to pestka. Dyrektor zakazał o tym mówić przez radiowęzeł, bo jak powiedział, „nie należy srać we własne gniazdo”.

Ponadto moim obowiązkiem było prezentować w gablocie przodowników pracy, dlatego dostałem małoobrazkową „Zorkę”. Po raz pierwszy miałem w ręku aparat fotograficzny. W drogerii w Miastku kupiłem film, założyłem go cudem, bo to wcale nie było proste. Zrobiłem kilka zdjęć i byłem ciekaw, jak mi wyszły. Wyjąłem negatyw, natychmiast zrobił się żółtozielony. Nic nie zobaczyłem, żadnych fotografowanych obiektów. Dziwne, pomyślałem. Włożyłem film z powrotem do kasety i zanieśliem do wywołania do zakładu fotograficznego, jak poradził mi kierownik miejscowej szkoły. Fotograf pokazał mi wywołany film, był czarny. Popatrzył uważnie i zapytał, dlaczego go naświetliłem, czy miałem jakieś powody? Opowiedziałem mu dokładnie jak robiłem zdjęcia. Długo nie mógł dojść do siebie. Ze śmiechu.

Był dobrym fachowcem i serdecznym człowiekiem. Po raz pierwszy wysłuchałem profesjonalnego wykładu o fotografii. Dowiedziałem się jak działa aparat fotograficzny, do czego służą jego elementy. Zapisaliśmy na kartce zależności przesłany do czasu i czułości taśmy. W miasteczkim zakładzie fotograficznym 50 lat temu wyprzedziłem dzisiejsze aparaty cyfrowe. Tam urodziłem się naprawdę. Zrozumiałem kim chcę być. Tak jest do dziś. Aparat fotograficzny jest moim okiem i moim językiem. Inaczej mówić nie potrafię.

Później wysłano mnie na kurs do kształcący organizowany przez CRZZ w ośrodku przy ulicy Grenadierów w Warszawie, na Pradze. Przez dwa miesiące byłem w stolicy. Henryk, mój brat, był wówczas studentem dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszkał w akademiku na Kajki. Spotykaliśmy się często. Oprowdzał mnie po Warszawie, a ja nie rozstawałem się z moją zorką. Był to burzliwy poli-

mosferze w akademiku i na ulicach. I o tym jak Henryk na wiecu pod Pałacem Kultury i Nauki skandował razem z innymi: Wolność Wyszyńskiemu!, Kardynał do kościoła! Słuchaliśmy radiowęzła do 22, a potem Wolna Europa słuchana potajemnie, ale powszechnie podawała informacje o zamieszkach na Węgrzech. Przecież to jego wina, że w Budapeszcie leje się krew, tłumaczył Marian. W odwecie za Węgrów postanowiliśmy rozstrzelać Stalina. Grupą zanieśliśmy popiersie na strzelnicę za sklep Mikulskiego. Przyniosłem KBKS, który miałem na wyposażeniu sekcji strzeleckiej. Do Stalina strzelało sześciu, bo tyle mieliśmy naboji. Było nas więcej, część z obawy została w świetlicy. Sprawa zrobiła się głośna i mogła być groźna. Jednak nikt naszej egzekucji nie potępił. Może było to październikowe odpuszczenie win, a może wszyscy myśleli tak jak my?

Od połowy października żyliśmy jak w euforii. Skończyło się VIII Plenum, na któ-



Fot. Archiwum J. Maziejuka

tycznie czas, tuż przed przejściem władzy przez ekipę Gomułka. Nie interesowała mnie polityka, ale Henryk z racji kierunku studiów był zainteresowany tym, co się wokół dzieje. Ja byłem robotnikiem, on, student, reprezentował już inteligencję. Przygotowywano nas, kursantów do włączenia się w studiumie studenckiej demonstracji. Mieliśmy dostać pałki owinięte w gazety i pomóc rozgonić manifestację. Poszedłem do akademika i powiedziałem o tym Henrykowi. Nie miałem ochoty brać udziału w zadymie. Z tego czasu zostały mi zdjęcia z bratem zrobione przy pomocy samowyzwalacza i te, które zrobił mi Henryk przed Pałacem Kultury i Nauki.

Pierwszą rzeczą jaką zrobiłem po powrocie z Warszawy było usunięcie popiersia Stalina ze stolika przy fortepianie. W świetlicy opowiadałem chłopakom o at-

rym Gomułka zyskał władzę i sympatię ludu. 21 października został I sekretarzem PZPR. Marian twierdził, że gołym okiem widać wpływ tow. Wiesława na sprawy demokratyzacji. Do świetlicy przychodzili nauczyciele, dziewczyny od agrotechniki, robotnicy. Czytali gazety, słuchali radia, nawet otwarcie mówiono o wiadomościach z Wolnej Europy.

Byliśmy na fali. 27 października w naszym pałacu w Kamnicy odbyło się otwarte zebranie partyjne. Towarzysze zadawali śmiało pytania, na które ani nasz sekretarz, ani towarzysz z powiatu nie potrafili odpowiedzieć. Michał z brygady polowej zapytał, czy to prawda co o Stalinie mówi Wolna Europa? - Słuchacie tego radia?!- przestraszył się sekretarz.

- Ja nie, ale ludzie słuchają i mówią. Co z tym Katyniem? Kto właściwie zamor-

dował tych oficerów? Towarzysz z powiatu obiecał wyjaśnić sprawę Katynia na następnym zebraniu.

- Czy partyjny może chodzić do kościoła? - pytał Grzegorz. - Może jak nikt nie widzi - radził Bolek. Śmiech. Kolejne pytanie:

- Czy partyjna może sypiać z bezpartyjnym? Absolutnie nie. Należy wyrzucić z

partii - zdecydował Bolek. Ktoś się zreflektował.

- Bolek, co ty wygadujesz! Twoja Brygida też bezpartyjna i w dodatku Niemka.

- Ja mam ślub z Brygidą! - oburzył się Bolek. Jej ojciec mieszka w NRD, buduje socjalizm!

- Czyli jak? - pytał ktoś dalej. Nie było jednak sensownej odpowiedzi.

Wesoło było z towarzyszem Bolesławem.

Mimo to na adres Gomułki napływały dary od ludności, obligacje Pożyczki Narodowej, kosztowności. Załogi podejmowały zobowiązania produkcyjne. Teraz już będzie dobrze. Wyszyński na wolności, nawet do wyborów zachęcał. Wierzyliśmy. Będzie dobrze. A może tylko trochę lepiej?

Wiele zdarzeń zaczęło się od sportu. Nie był to główny nurt mojego życia, ale zawsze był dla mnie ważny. W Kamnicy zorganizowałem drużynę siatkarki, sekcję strzelecką i szachową. Graliśmy mecze z trześcioligowymi drużynami, z którymi spotkałem się na obozie sportowym w Sierakowie nad Wartą. Było to ogólnopolskie zgrupowanie pracowników kulturalno-oświatowych z zespo-

łami młodzieży sportowej z pegeerów. Zostałem wybrany starostą obozu. Pamiętam piękne dziewczyny, które przychodziły na potańcówki na trawie i na nocne kąpiele w jeziorze.

Po powrocie, w Miastku chodziłem na kurs na prawo jazdy. 27 stycznia 1959 roku w Słupsku bez poprawek zdałem egzamin. Niepotrzebnie bałem się tramwajów, które jeździły po słupskich ulicach. Byłem bardzo dumny z siebie. Wiem, teraz to takie oczywiste, ale w tamtym czasie było inaczej, szczególnie w mojej sytuacji. Otrzymałem prawo jazdy III kategorii, dzięki temu miałem szansę na lepsze zatrudnienie.

Lubiłem Kamnicę, wieś i ludzi. Widziałem, jak stają się jedną społecznością, jak cieszą się nowymi mieszkaniami. Byłem jednym z nich. Kiedy w 1958 roku przeprowadzano reorganizację PGR-ów i musiałem opuścić Kamnicę, było mi smutno.

Tak wyglądało życie pegeerowców. Ciągłe wędrówki, z jednego do drugiego i nigdzie pewności, że to już na stałe. Kamień często przetaczany, mchem nie obronie, powiada ludowe przysłowie. Tak było i z ludźmi. Siłą rzeczy wszystko traktowali jak tymczasowe, tym bardziej że ciągle była niepewność, czy ta ziemia do nas należy. Kształtował się taki typ mentalności oparty na poczuciu tymczasowości, niepewności, braku bezpieczeństwa. Podsycali go ówczesne władze polityczne niechęcią, brakiem troski o materialne dziedzictwo prze-



Fot. Archiwum J. Maziejuka

Dzień uszczęśliwiania

Premier Tusk wie co robi i ma na to usprawiedliwienie.

Kradzione przez lata Panu Bogu soboty należy teraz oddać.

Dlatego musi być wydłużony wiek przedemerytalny

Historia ludzkości kołem się toczy. Od epoki kamienia łupanego i pisma obrazkowego doszliśmy do kamienia łupkowego i też pisma obrazkowego, tyle że w fotografii. A jeśli już odważymy się pokazać swoje rysunki obrazkowe innym, to tylko swoim dzieciom, i to do lat trzech. Na przykład serce przebite strzałą z kieliszkiem na krew, albo obrazek bałwana. Utrwalając swoim pocięciem takie wyobrażenie miłości i nasze autoportrety - przekazujemy następnym pokoleniom „artystyczne” widzenie świata. A potem?... „uciekaj skoro świt, bo potem będzie wstyd, i nie wybaczy nikt...”.

Niby wszystko gra. Nihil novi. Niby. Konflikty powodują akceptowane przez nas wartości. Dla jednych są to wartości dnia codziennego, dla innych - kulturowe, dla innych jeszcze - etyczne. Interesy też

bywają różne. Dla jednych - rzeczowe, dla innych - proceduralne, dla innych jeszcze - filozoficzne. Ja sam szukam choćby jednego powodu, dla którego warto żyć, choćby o godzinę dłużej. Nie zastanawiam się też - jak żyć, tylko - po co? Żartuję oczywiście, bo żyjemy nie zawsze dla czegoś, tylko najczęściej - pomimo czegoś. Używając tego określenia, staram się (taktownie) uświadomić ogólny stan wiedzy. Ludzie często utożsamiają na przykład wesołe ze śmiesznym, smutne z żalnym, dramatyczne z tragicznym, masakrę z maskaradą, sprawność fizyczną ze sprawnością intelektualną, wiarę z nadzieją, nadzieję z miłością, a Mistrza z Małgorzatą (Bułhakow) i coraz częściej Solanum Tuberosum (ziemniak) z Solarium Turbo. Część moich znajomych (z konieczności!) też czuje się wrażliwa na

piękno. Na moje artykuły patrzy z zachwytem - jak wół na malowane wrota.

Czasem odnoszę wrażenie, że ten nasz obecny ustrój, pomimo swego dobrodziejstwa, jakim jest święta własność prywatna, niektórym wyrządził już krzywdę. Ktoś mógł zostać przecież, na przykład świetnym zdunem, hydraulikiem, kucharką, szewcem, krawcową, a przyszło mu zostać specjalistą od papierków, teologiem, politykiem, historykiem, posłem czy senatorem. Nawet - europoseł. Powiedzenie mówi, że kto nie ma w głowie - nie powinien mieć w portfelu. A okazuje się, że jest odwrotnie - ma i to dużo. To wprost niepojęte dla mnie wyroki niebios i transformacji ustrojowej.

Niektóre media, na przykład te pochodzące z grodu Kopernika podają - po-

szłości. Budynki mieszkalne, dwory, pałace, maszyny, przedmioty codziennego użytku, oczywiście pamiątki historii tej ziemi nie miały należytego poszanowania. Nie było emocjonalnego zainteresowania i nie dotyczyło to tylko pracowników PGR, choć w tej grupie społecznej ten rys mentalności był najbardziej widoczny.

Trafiłem do Wołczy Wielkiej, miejscowości położonej o cztery km na południowy zachód od Miastka. Ucieszyłem się ze spotkania z Marianem Mączkowskim. Był kierownikiem magazynu paliw w zakładzie remontowo-budowlanym. Zamieszkaliśmy w jednym pokoju. Kiedy wracałem z objazdu okolicy ursusem wyładowanym materiałami budowlanymi, bo taką miałem pracę, oddawaliśmy się obaj pasji malowania. Marian był w pewnym sensie profesjonalnym malarzem. W młodości uczył się w szkole plastycznej w Poznaniu, którą z jakiegoś powodu porzucił. Ja byłem zupełnym amatorem. Malowaliśmy na płytach sklejkowych farbami, które załatwił Marian. Nasze prace wisiły w stołówce, w pomieszczeniach biurowych i miały powodzenie. Byliśmy popularni, zdobyliśmy zaufanie kierownika Mieczysława Niewiadomskiego, który zatrudnił mnie jako kierownicę służbowego samochodu Skoda. Po godzinach mieliśmy z Marianem czym jeździć do kina do Miastka.

Jednocześnie planowaliśmy z Marianem rajd rowerowy dookoła Polski z prze-

jazdem w strefie przygranicznej po stronie słowackiej. W marcu kupiliśmy rowery, plecaki i namiot. Rozpoczęliśmy treningi, a kibicowali i pomagali nam wszyscy. Koledzy z warsztatu dorobili bagażniki do rowerów, podokreślali co trzeba, naoliwili. Otrzymaliśmy urlopy i we wtorek 30 czerwca docisnęliśmy pedały. Planowana trasa była dłuższa od tej z maja z XII Wyścigu Pokoju. Zwiedzaliśmy miasta, spotykaliśmy życzliwych, ciekawych ludzi. W Poznaniu w redakcji Expressu Poznańskiego opowiadaliśmy o naszej podróży. Dwa dni później witano nas na trasie jak bohaterów, gazetowych oczywiście.

Jadąc do Zakopanego zatrzymaliśmy się w Poroninie. W muzeum Lenina zachwycała nas młodzieńca pani kustosz Krystyna, śliczna studentka polonistyki z Krakowa. Obaj jesteśmy pewni, że gdyby Lenin znał ją zamiast Krupskiej, nie robiłby rewolucji.

Prowadziliśmy dziennik podróży. Notowaliśmy ciekawostki o miejscach i ludziach, prosiliśmy o uwagi spotkanych. Z dumą czytaliśmy wpisy trzydziestu dziewczyn z obozu w Tatrzańskej Łomnicy, niektóre bardzo odważne. Spotkaliśmy je, gdy wracały z wybieżki kolejką na Łomnicę. Dziewczyny pochodziły z Pragi, Koszyc, Brna. Rozmawialiśmy wtrącając słówka rosyjskie i niemieckie. Obiecaliśmy wrócić w przyszłym roku. Jarmila i Marie z Brna będą na nas czekały. Żegnaliśmy Słowację zachwyceni urodą Tatrzańskej Łomnicy, Szczyrbskiego Jeziora, Starego Smokowca. Przez przejście Łysa Po-

lana-Jaworzyna wracaliśmy do Nowego Targu, Myślenic i Krakowa.

W Krakowie rajd zakończył się porażką. Spod Baru Obywatelskiego w pobliżu Barbakanu skradziono nam rower i namiot. Zgłosiliśmy kradzież milicji, ale usłyszeliśmy kilka uwag o żulikach z Nowej Huty i melodię „o Nowej to Hucie piosenka, o Nowej to Hucie melodia...”

Oczywiście, będą ściagać, ale...

Trudno, dalej jedziemy stopem przez Warszawę. Kierowca, ważny człowiek, wysadził nas na Wiejskiej przy redakcji Nowej Wsi. Dziennikarze razem z nami utyskiwali na krakowską przygodę, a my z nimi cieszyliśmy się, że radio sięgnęło do repertuaru Mazowsza po ludową piosenkę. Cały dzień nuciliśmy pod nosem „i choć padało, choć było śliśko, to się przywlokło to świniorzysko”. Był 15 lipca 1959 roku. Pani Maria Bartnik, redaktor naczelna wynagrodziła nam przykrości, załatwiając hotel i bilety na wieczór do Syreny. Warszawa była wolna, bo Chruszczow wizytował Śląsk. Później dowiedzieliśmy się, że w Zagórzku koło Sosnowca miał miejsce nieudany zamach.

Do Wołczy Wielkiej wróciliśmy w piątek, 17 lipca przed północą. Szliśmy z Miastka pieszo. Księżycowa noc, pięknie. Doceńniamy uroki miasteczkiej ziemi powtarzając, wszędzie dobrze, ale w domu... Tak, czułem że mój dom jest tutaj.

**Wspomnienia Jana Maziejuka
zapisła Czesława Długoszek, Objazda**

nia bliźniego



wołując się na interwencję Siły Wyższej - że znaleźliśmy się w czołówce światowej po Chinach, USA, Kanadzie i Rosji w zasobach gazu łupkowego, a także ropy. Bogactwo to znajduje się między innymi na obszarze Pomorza gdańskiego i dalej pasa południowo-wschodniego - aż po tereny Lubelszczyzny. Moje zdziwienie wywołała już świadomość, że przecież nasi sąsiedzi ze Wschodu i Zachodu mają zbliżone do naszego podłoże geologiczne. A oni nie są jeszcze w tej czołówce. Mało tego, to bogactwo mieści się dokładnie w granicach Polski z 1945 roku, a więc było już w czasach PRL!

Mimo wszystko wiadomość o gazie wywołała we mnie i moich znajomych wybuch niemal takiej samej nadziei, jak przed laty odkryta ropa w Karlinie. Wziąłem sprawy w swoje ręce i poleciłem żonie kupić turban na allegro, bym mógł w nim chodzić jak szejka. Żona mnie wyśmiała, powiedziała, że do mojego łba nie pasuje nawet beret z antenką, a co dopiero turban. Nie odpuściłem i uznałem, że jednak zaimponuję nie tylko mojej żonie. Przecież posia-

dany majątek to najkrótsza droga do bycia kochanym! Później okazało się, że całe osiedle też zamówiło sobie na allegro ten sam atrybut bogactwa, przesyłając przez Internet. Żona w złości doradza mi noszenie na głowie pampersa zamiast turbanu. Twierdzi, że media wodę mi z mózgu zrobiły, więc pampers będzie praktyczniejszy. Od jakiegoś czasu nazywa mnie - łupkiem, czasem - głupkiem, najczęściej jednak - persona non grata, a te trzy określenia uzupełnia gestem znanego olimpijczyka.

Dochodzę do przekonania, że Stwórca był obiektywny i sprawiedliwy. Dał innym ludom i krainom większe niż nam bogactwa mineralne (złoto, srebro, ropę, gaz, diamenty) i to bez względu na wyznanie, czy wiarę. A że majątek i pieniądze szczęścia nie dają, narody bogate we wspomniane minerały - są biedne. Bo liczy się tylko bogactwo duchowe.

Słowem Bożym - według chrześcijan, w którym nasz katolicyzm też się zawiera - jest Biblia. Mówi o tym Księga Rodzaju (Genesis), dla innych - Pierwsza Księga Mojżeszowa. Stąd wiem, że Stwórca sześć dni pracował, a w siódmym odpoczywał. I nie ważne, czy dzień wtedy trwał dwadzieścia cztery godziny, sto czy tysiąc lat. Ważne, że odpoczynek trwał tyle czasu, co jeden dzień pracy. Przeglądając to Dzieło w żaden sposób nie mogłem doszukać się

słowa - weekend. Czynienie szóstego dnia pracy dniem wolnym rozumiem więc jako poprawianie Pana Boga, co wydaje się karygodne. (A nie wspomnę już o tzw. długich weekendach.) Wielokrotnie poprawiana i nowelizowana od tysiąca lat Biblia też pomija milczeniem weekendowe praktyki stosowane w naszym obecnym życiu. Szacunek dla minionych pokoleń, które na wzór Stwórcy też pracowały sześć dni w tygodniu (nie licząc czynów społecznych) zobowiązuje mnie do wyrażenia podziwu w tej sferze życia. Był okres, kiedy ja sam pracowałem przez sześć dni w tygodniu, w zgodzie z odwiecznym prawem do wypoczynku w niedziele. Tak więc powszechne bumelowanie w soboty - tym bardziej obraża moje uczucia religijne.

W Polsce podobno ponad 90 proc. ludności deklaruje się katolikami. Nie wiem, czy jest to grzech zaniedbania, czy milcząca przyzwolenie - dotychczasowy, pięciodniowy czas pracy domaga się jednak sprawiedliwej weryfikacji naszej moralności, etyki i prawdy. Sam prezydent Reagan - wspierając nasze starania o wolną Polskę - mawiał: „My wierzymy, ale chcemy weryfikacji”. Wątpię też, czy słowa wcześniej-

szego Cycerona: „Dobro ludu jest dobrem najwyższym” miały na myśli skrócenie czasu pracy o jeden dzień. Starsze pokolenie pamięta, że i dzieci chodziły do szkoły w soboty. Mało tego, nawet noworodki dowożono do żłobków w soboty, a maluchy do przedszkoli. Babcie i dziadkowie, mamusie, tatusiowie, ciotki i wujkowie byli w pracy. Koleżeńskie czy pracownicze powitanie wyrażało się wówczas powiedzeniem „Cześć pracy”.

Wiem jedno, sprawdza się ludowa mądrość: „Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy”. Temu grzechowi zaniechania trzeba teraz zadość uczynić. Jeśli nie powróć do pracujących sobót, to przez wydłużenie lat pracy i zmiany okresu osiągnięcia wieku emerytalnego. Te ukradzione Panu Bogu soboty należy teraz oddać. Premier Tusk wie co robi i ma na to usprawiedliwienie. Do kobiet mam jednak słabość i pozostawiłbym im dotychczasowe zasady przejścia na emeryturę. Pod warunkiem że nie będą po męsku domagały się równouprawnienia, bo przestaną być obiektem męskich westchnień. O ile znany był od wieków cel dnia wolnego - niedzieli, o tyle weekendy nie mają jednoznacznej definicji. Swoje

niezużyte pokłady energii i nadmiar czasu wolnego, wypełniamy społecznym zaangażowaniem w Internecie. „Facebooku”, „Forum dyskusyjnym”, „Gadu-Gadu”, na portalach „Darling”, „Sympatia”, „Nasza klasa”. Wszystko to pochłania zaoszczędzoną energię. Chciałoby się powiedzieć: „Wyłącz komputer - włącz myślenie!”

Część życia szkolnego, zawodowego, społecznego wypełniłem sześciiodniowym czasem nauki i pracy. Wszystko zatem wskazuje, że załapię się na emeryturę w wieku 65 lat. Wtedy dopiero nadrobię zaległości internetowe. Mając już na głowie turban i potencjalne bogactwo z gazu łupkowego - będę szalała w Internecie, w ruchach i rozruchach społecznych, happeningach, złotych, wiecach sportowych i politycznych. Będę protestowała przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Jak mi starczy czasu, to będę leżała i wypoczywała. Kiedy mi czasu zbraknie, będę tylko leżała.

Żądając dla Polski wyłącznie statusu krainy turystyczno-ekologiczno-wypoczynkowej będę interesowała się wyłącznie piłką nożną i polityką, szczególnie meczami: Polska - Rosja, Polska - Niemcy, czy Polska - Izrael. Tym bardziej że w meczach

Francisco Goya i historia



Oglądając obraz w Muzeum Prado, wielokrotnie zastanawiałem się i zadawałem pytanie, które do dzisiaj jeszcze mnie przesładuje: kto stanowił pluton egzekucyjny, czy nie byli to polscy żołnierze?

Największy malarz hiszpański przełomu XVIII i XIX wieku - Francisco Goya został w sposób bardzo ciekawy przybliżony polskiemu odbiorcy. Jest to duża zasługa Muzeum Narodowego w Gdańsku i zorganizowanej wystawy tego malarza pn. „Zabawy dziecięce” oraz Telewizji Polskiej, która ostatnio wyświetliła film fabularny „Duchy Goi”, wypełniając lukę biograficzną o wielkim malarzu.

Muzeum Narodowe w Gdańsku do połowy lutego prezentowało cykl sześciu obrazów pod wspólną nazwą „Zabawy dziecięce”, należących do zbiorów madyryckiej fundacji Fusara. Jest to fundacja prywatna, której założycielką była hrabina Carlota de Santamarca - organizatorka działającego do dziś sierocińca i szkoły dla doświadczonych przez los dzieci. Wystawa przedstawia unikalne dzieła z wczesnego okresu twórczości artysty, gdy jego styl podlegał jeszcze przemianom. Poszukiwania Goi są ukierunkowane na zainteresowanie człowiekiem, odkrywanie jego powściągliwej żywiołowości. Wątek ten przebiega się w całej twórczości tego wielkiego malarza, a na wystawie można było doznać szczególnej obserwacji. Zaprezentowane obrazy poświęcone dzieciom, pokazały beztroski świat maluczkich. Artysta ukazuje zabawy dziecięce w wybranych sześciu scenkach rodzajowych - dzieci bawią-

tych wygrają nasi. Jako człowiek wolny i niezależny politycznie będę protestował przeciwko: wiatrakom, elektrowniom atomowym, tarczom antyrakietowym. Taki ze mnie będzie wolnościowy wesolek. Będę też za - a nawet - przeciw by wstrzymać Ziemię, a ruszyć Słońce", albo zamiast ciemnoty będę domagał się więcej jasności.

Żyjemy w cudownym, pokojowym świecie. Przynajmniej jest tak w Europie. Ale czy uświadamiamy sobie chociaż to szczęście? Średnie i młode roczniki stan pokojowy uważają za normę. Właśnie ta norma zawiera w sobie szczęście nas i całego narodu. Żałuję tylko, że to szczęście jest tak mało zauważane i pielęgnowane. Młodzieży się nie dziwię, choć historia II wojny światowej kłania się wszystkim! My, których rodzice cierpieli i umierali w walce, nie powinniśmy nigdy o tym zapomnieć, bo skutki wojny najbardziej przeżywalimy i doświadczaliśmy. Świętując złote czy diamentowe gody pożycia małżeńskiego, z dumą, ale i zażenowaniem konkludujemy, że naszym rodakom nie dane było dożyć nawet wieku męskiego.

Jestem jeszcze na tyle świadomy, że odróżniam rodaków, którzy z karabinem w

rękę tracili życie lub cierpieli niewyobrażalnie, od takich, którzy dzierżą w rękę znicz za 45 groszy i... mówią, mówią, mówią. Tak, jak w dowcipie powojennym: „Mosiek, czemu ty nie idziesz walczyć z Niemcami? - Bo ja ojczyznę kocham. - To dlaczego nie walczysz? - Bo jak mnie zabiją, to kto będzie ojczyznę kochał? Odróżniam też patriotów wiernych naszej ojczyźnie, od takich, którzy kochają Polskę na odległość (z Kanady, Australii, Niemiec, Holandii, Szwecji). Za sumienie i honor nie płacą. Poza tym - jak mawiał genialny idiota Wojak Szwejk - „... bo gdyby wszyscy byli mądry panie oberlejtant, to świat by do reszty zwiariował”. Słowo „Europejczyk” składa się z czterech sylab, ale - dwóch rzeczowników pospolitych: „euro” i „pejczyk”. „Twarde prawo, ale prawo” - mówi sentencja. Odwieczna sprawiedliwość musi być.

W marcu obchodziliśmy „Dzień Uszczęśliwiania Bliźniego”. Trochę się dziwię z tego jednego tylko dnia, bo uszczęśliwianie bliźnich rozpoczęło się już po 1989 roku. Minął zły system PRL-u. Nastąpiła upragniona RP. Poza tym - warto przypomnieć - pierwszą solidarność i unijną formułę kapitalizmu spekulacyjnego utworzyli - nie

kto inny tylko polski Karol Borowiecki, niemiecki Maks Baum i żydowski Moryc Welt z „Ziemi obiecanej” Władysława Reymonta. Stosowali oni zasadę: „...zerwałś koszulę z jednego, to bierz się za drugiego”. Z czasem wprowadzono element humanizmu z ludzkim obliczem: „...jak masz chama - to go duś. Jak się kapnie - to go puść”. Obecnie humanizm i gospodarność osiągnęła takie szczyty, że - jak mawiał znajomy mi rzeźnik - tak należy dokonać rozbioru świni, żeby został tylko - kwik.

Współcześni „Borowieccy” wprawdzie drugiej Japonii nie zbudowali, ale przejęli od nich część kultury: umięją kłaniać się po japońsku - Maksowi i Morycowi. (Do nacuczenia pozostało im tylko - harakiri i seppuku). Okazuje się, że człowiek jest najsłabszym elementem każdego systemu. Nie wdając się w szczegóły, porównania, ocenę czy wybiórczą pamięć kolejnych i kolejno działających partii - oczekuję porozumienia, rozsądku, spokoju i synergicznego pojmowania interesów wszystkich Polaków. Tylko jakoś - pomimo uszczęśliwiania - niezbyt czuje się uszczęśliwiony.

**Klemens Rudowski
Słupsk**

jego najstymniejszego obrazu

ce się w żołnierzy, bawiące się w korridorze, na huśtawce, dzieci bijące się między sobą, dzieci szukające w ruinach ptasich gniazd. Cykl obrazów został pomyślany jako seria płócien przeznaczonych do dekoracji pomieszczeń, w których odbywały się tertulia - spotkania o charakterze kulturalnym.

Goya - wielki obserwator życia ujawnia się jako mistrz przekazywania nastrojów ludzkich i społecznych. W obrazach dzieci poszukuje, podpatruje i przedstawia to, co w naturze dziecka i w jego zachowaniu jest takie „czyste”, to znaczy prawdziwe, a jednocześnie spontaniczne. Pokazane są swawole, radość, smutek i uśmiech. Są to obrazy olejne na płótnie, niedużej wielkości, które zostały wyeksponowane plastycznie z dodatkową animacją odgłosów bawiących się dzieci. Prace tego hiszpańskiego malarza mają wysoką wartość artystyczną i stanowią dowody przemian zachodzących w osiemnastowiecznym malarstwie europejskim pod względem nowej ikonografii i środków artystycznego przekazu osadzonych między klasycyzmem a romantyzmem. Artysta za pomocą barwnych plam z tą samą siłą malował wielkie przestrzenie oraz detale, rzeczywistość widzianą z bliska, ale także świat przeżyć wewnętrznych. Wystawa gdańska wzbudziła duże zainteresowanie wyjątkowymi



dziełami Goi, które były po raz pierwszy pokazywane w Polsce.

W tym samym czasie Telewizja Polska wyświetliła fabularny film „Duchy Goi” Milosa Formana, w światowej obsadzie: Javier Bardeni, Natalie Portman, Stellan Skarsgard, Randy Quaid, Michael Lonsdale, Jos Luis Gomez i inni. Scenariusz filmu opracowany przez reżysera i Jean-Claude Carrine oparty jest na biografii słynnego malarza i na obrazach, które przedstawiają czasy jego życia. Ekranizacja wydarzeń historycznych, których był świadkiem Goya stanowi szczególnie walor filmu. Artysta żył w burzliwych czasach monarchii absolutnej, rewolucji francuskiej, wejścia wojsk napoleońskich do Hiszpanii i mianowania brata Napoleona, Józefa królem Hiszpanii oraz ogólnonarodowego powstania w wojnie wywolenczej przeciw Francuzom. Był to okres burzliwy w dziejach Hiszpanii. Goya nie tylko był nadwornym malarzem króla Karola IV, ale ilustratorem tych wydarzeń.

Film pokazuje, jakie przemiany zachodziły w Hiszpanii i jak wielki miały wpływ na twórczość, poglądy i życie artysty. Brutalność czasów, wykorzystywanie społecznych haseł do wymiany władzy, szereg despotyzm i terror stanowiły dla Goi temat jego dzieł. Ciekawa fabuła i wyjątkowa obsada aktorska dostarczają wielu emocji przy oglądaniu tego wspaniałego

obrazu, który również przedstawia wybrane dramaty ludzkie z tamtej epoki. Film jest wzbogacony o przegląd dzieł Goi, co dostarcza widzowi okazji do zapoznania się z twórczym dorobkiem artysty.

Spacerując po Madrycie, przenosimy się do jednego z najbogatszych muzeów sztuki w świecie, z niezwykle cenną galerią malarstwa. Jest to Muzeum Prado położone w centralnej części miasta, w pięknym neoklasykcyjnym gmachu. Jego siedziba powstała za panowania Ferdynanda VII, który stworzył Królewskie Muzeum Malarstwa. Muzeum Prado posiada unikalną kolekcję malarstwa hiszpańskiego oraz malarstwa krajów związanych historycznie z monarchią habsburską. Odnajdujemy w nim największą kolekcję twórczości Goi - sto trzy-

dzieści obrazów. Są one między innymi poświęcone członkom i rodzinie królewskiej, których niejednokrotnie Goya przedstawiał karykaturalnie i śmiesznie. Z jego twórczości wynika, że nie akceptował rządów monarchii absolutnej ani szerzącej się ówczesnie tyranii „świętego oficjum”. Skłaniał się i sympatyzował z hasłami rewolucji francuskiej - wolnością, równością, braterstwem. Okres wkroczenia do Hiszpanii wojsk napoleońskich stanowi jednak wielkie rozczarowanie Goi do idei głoszonej przez Francuzów. Obrazy z tego okresu posiadają szczególne piętno, powstały cykle doskonałych dzieł „Kaprysy”, cykl graficzny „Okrucieństwa wojny”, czy „Czarne obrazy”.

Odzwierciedleniem krwawej walki narodu hiszpańskiego z wojskami Napole-

ona są dwie kompozycje malarskie. Obraz pierwszy to Masakra w Madrycie - „Walka koło Puerta del Sol” powstał w 1808 roku, a drugi „Rozstrzelanie powstańców” jest datowany na 1814 rok. Obrazy te należą do najświetniejszych dzieł malarskich Goi i stanowią ozdobę Prado. Pełna nazwa obrazu „Rozstrzelanie powstańców” brzmi: „3 maja 1808: rozstrzelanie powstańców madryckich”. Jest to olej na płótnie o wymiarach 266 x 345 cm i w twórczości Goi jest uważany za najważniejszy. Można też ujawnić zawarty w nim dyskusyjny wątek polski. W wojskach napoleońskich biorą udział oddziały polskie pod dowództwem Kozińskiego, którego szarża szwoleżerów w bitwie z powstańcami hiszpańskimi pod Samosierrą otwiera Francuzom dro-

Ten najstarszy i najdłuższy szlak pątniczy pasjonował mnie od dawna. Studiując historię i współczesne materiały o drodze z Camino do Santiago przybliżałem urzeczywistnienie mojego planu. Do wyboru jest wiele dróg w Hiszpanii i Portugalii, które nie zawsze są zgodne z programami pielgrzymek organizowanych przez polskie biura turystyczne, traktujące Santiago marginalnie - jako jednodniowy postój na trasie. Mija się to z celem zasadniczym i nie ma nic wspólnego z przeżyciem Drogi Jakubowej.

Jest to szlak pątniczy indywidualny, kontemplacyjny, ekumeniczny, który pokonujemy z pobudek czysto osobistych. Musimy mieć określony cel do zrealizowania, przekonanie, dlaczego idziemy i co chcemy osiągnąć w naszej refleksji i przemyśleniach. Istotne znaczenie ma motywacja osobista pątników do pielgrzymowania dla osiągnięcia korzyści duchowej z pokonania szlaku Drogi Jakubowej. Rozmowy zbliżają uczestników wędrowania. Często prowadzone są w schroniskach i noclegowniach, potocznie zwanych albergami. Są to schroniska o różnym standardzie i jest ich na szlaku bardzo dużo, znajdują się w różnych odległościach od siebie. Są przygotowane na przyjęcie zmęczonego pielgrzyma. Mogą być prywatne lub municypalne, czasem bardzo stare, czasami nowoczesne. Cena za nocleg jest bardzo zróżnicowana, zależy od standardu (pokój dwuosobowy czy wieloosobowy), od tego czy w ramach noclegu ma być śniadanie, czy oferowane są dodatkowe usługi - pralnia, suszarnia itp. Przykładowo: koszt noclegu na sali 14-osobowej wynosi 8 euro, a ze śniadaniem 10 euro, zaś w pokoju 3-osobowym - 30 euro (za osobę 10 euro). Różnorodność schronisk jest tak duża, że można po pewnych staraniach znaleźć odpowiednie dla siebie. W większych miejscowościach są hotele i restauracje z cenami też o dużej rozpiętości.

Moje pierwsze spotkanie ze szlakiem Drogi Jakubowej odbyło się dziesięć lat te-

Szlakiem św. Jakuba z Astorgi do Santiago de Compostela

W Cruz de Ferro na symbolicznym miejscu należy ułożyć przyniesione z domu kamienie wyobrażające ciężary życiowe pielgrzyma - zgodnie z życiową maksymą, że każdy swój krzyż niesie



mu, kiedy odbywałem podróż służbową do stolicy Księstwa Asturii - Oviedo. Wyleciałem z Gdańska rano do Warszawy i w godzinach południowych leciałem już liniami iberyjskimi do Madrytu, gdzie przesiadłem się na samolot do Oviedo i o godzinie siedemnastej byłem na drodze zwanej Camino Primitivo. Jest to droga północna z Oviedo do Santiago, licząca 369 km i biegnąca przez obszar Asturii, Góry Kantabryj-

skie, przekracza rzeki Rio Narcea, Rio Navia i zmierza do prowincji Galicia. Podziwiałem stare oznakowanie szlaku jego symbolem - stylizowaną muszlą, ale drogi nie pokonałem. Zabrakło czasu. Muszla na całym kontynencie europejskim jest symbolem Drogi św. Jakuba. Jest to muszla małża zasiedlającego akweny europejskiego brzegu Atlantyku. Należy on do gatunku Pecten maximus L. Doczekała się wielu stylizacji i nazw,

gę do Madrytu. Następuje terror i bestialska likwidacja powstania, które wybuchło 2 maja 1808 roku, a dzień później zostało krwawo stłumione. O świcie 3 maja rozstrzelano wszystkich uczestników rebelii oraz podejrzane osoby za udział w powstaniu. Prawdopodobnie Goya był świadkiem tej sceny i podjął się utrwalenia tych wydarzeń. Jest to temat zasadniczy obrazu przedstawiającego przebieg egzekucji. Na płótnie Goi widać najtragiczniejszy moment wydarzenia, w którym jedni patrioci zostali już rozstrzelani i leżą na ziemi w kałużach krwi, a inni szykują się na śmierć. Poszczególne elementy kompozycji kryją głębokie treści. I tak - na ciemnym tle nocnego nieba widnieją zarysy miasta z wyraźną sylwetką kościoła, który symboli-

zuje Kościół niezdolny bronić swoich wiernych. Widoczna na obrazie postać zakonika w szarym habicie z tonsurą na głowie wyraża bezsilność wiary wobec przemocy i wielkich katastrof wojennych. Natomiast powstaniec w białej koszuli, z szeroko rozłożonymi ramionami, przywodzi na myśl ukrzyżowanego Chrystusa. Oglądając obraz w Muzeum Prado wielokrotnie zastanawiałem się i zadawałem pytanie, które do dzisiaj jeszcze mnie prześladuje: kto stanowią pluton egzekucyjny, czy nie byli to polscy żołnierze? Goya na ten temat się nie wypowiada, komendy są wydawane po francusku. Artysta nie ujawnia nawet twarzy żołnierzy z plutonu, natomiast te anonimowe postacie ustawił w jednym szeregu, dzięki czemu nabierają symboli-

licznego znaczenia oprawców, ślepo posłusznych rozkazom.

Dla nas Polaków obraz ma szczególną wymowę. Nie zawsze nasi żołnierze walczyli „za naszą i waszą wolność”, ale byli naiwnie wykorzystywani do tłumienia powstań narodowych. Z materiałów źródłowych wynika, że największym zaufaniem Napoleona cieszyły się bardzo lojalne, czolobitne i waleczne oddziały polskie i specjalne zaciężne wojsko mameluków z Egiptu, które jednak wyróżniało się, mając na głowie turbany. Napoleon głosząc ideę odrodzenia państwa polskiego, bezgranicznie wykorzystywał Polaków w kampaniach wojennych do najtrudniejszych zadań, nie zawsze godnych żołnierza polskiego.

Włodzimirz Lipczyński, Słupsk

ale najczęściej używane to „muszla pielgrzymia” lub „muszla jakubowa”.

Moje pragnienie przejścia do grobu św. Jakuba Apostoła zostało zrealizowane dopiero w maju 2010 roku. Przygotowania do tego przedsięwzięcia rozpocząłem już rok wcześniej. Z dużym wyprzedzeniem zakupiłem bilet na samolot relacji Dusseldorf - Bilbao i z powrotem za bardzo niską cenę 56 euro. Dojazd z Polski do lotniska musiałem zorganizować we własnym zakresie. Wybór trasy był związany z ilością dni zadysponowanych do przejścia, z możliwościami fizycznymi i finansowymi. Trasa Camino Frances jest najdłuższa, liczy około 820 kilometrów i rozpoczyna się w miejscowości francuskiej Irun przy granicy z Hiszpanią. Wybrałem odcinek z miejscowości Astorga oddalonej od Bilbao o kilka godzin jazdy autobusem linii Alsa (cena biletu 20 euro). Z Astorgi do Santiago de Compostela jest około 350 km. Miałem do dyspozycji dwadzieścia jeden dni majowych. Jak się później okazało - pogoda była zmienna - raz słońce, raz deszcz i nie zawsze można być piechurem. Ze względu na pogodę i zmęczenie czasami trzeba skorzystać z lokalnych okazji lub autobusów, które podwożą do następnego punktu na trasie. Bagaż osobisty - plecak nie powinien być cięższy niż 7 kilogramów. Plecaki cięższe trudno się nosi. Należy pamiętać maksymę Camino: „... to nie droga jest trudnością, to trudności (życiowe) są drogą”.

Astorga to małe miasteczko, ale posiada wiele schronisk dla pielgrzymów. W jednym z nich można zarezerwować nocleg i wyrobić paszport pielgrzymia. Credencial del Peregrino, nazywany paszportem pielgrzymia, umożliwia przenocowanie w schroniskach. Upoważnia również do odebrania tzw. kompostelli, czyli certyfikatu pielgrzymia. W trakcie pokonywania szlaku należy zbierać pieczątki z alberg w Credencialu. Jest to bowiem warunek otrzymania w Santiago certyfikatu i potwierdzenia odbycia pielgrzymki. Musimy koniecznie pokonać ostatni etap dojścia do Santiago,

pieszo jest to minimum 100 km, rowerem i konno po 200 km. Takie są różne możliwości pokonania szlaku pątniczego do grobu św. Jakuba.



Fot. W. Lipczyński

W następnym dniu pokonujemy odległość Astorga - Rabanal (22 km). Nocleg znajdziemy w alberdze „El Tesin” za 7 euro. Przez dwa dni możemy zwiedzać miejscowość, a wieczorem uczestniczyć w miejscowym kościele w mszy śpiewanej po łacinie. Czytanie słowa Bożego odbywa się w trzech językach - angielskim, niemieckim i hiszpańskim. Podczas codziennej mszy o 21:30 są śpiewane Horały gregoriańskie przez benedyktyna, a na zakończenie jest udzielane błogosławieństwo pielgrzymom na dalszą drogę. Jako kolejny pokonujemy szlak do El Acebo przez góry. Widoki są imponujące, krajobrazy ukwiecone, kwitnie tu wiele roślin, wyróżnia się żarnowiec bia-

ły. Trzeba przejść prawie trzydzieści kilometrów po ścieżkach górskich, między wozami, parowami, wspinając się na wierzchołki. W Cruz de Ferro na symbolicznym miejscu należy ułożyć przyniesione z domu kamienie wyobrażające ciężary życiowe pielgrzymia - zgodnie z życiową maksymą, że każdy swój krzyż niesie. Następane dni to dalsze etapy Camino. Na całej trasie wszędzie spotkamy oznaczenia w postaci żółtych strzałek i ustalonych przez Radę Europy symboli muszli małży jakubowej.

Pielgrzymowanie do Santiago de Compostela odbywa się we wspólnocie wiary i dziedzictwa kulturowego Europy. Poznajemy następne miejscowości i miejsca noclegu - Ponferrada, Villafranca del Bierzo, Lugo, Sarria, Portomarin nad wielką rzeką, Gonzar, Palais de Rey, Melide, Arzu, Santa Irene. Po pokonaniu 17-dniowego szlaku Camino znajdziemy się w końcu na przedmieściach Santiago, pięć kilometrów od katedry, w miejscowości Monte do Gozo znajduje się Góra Radości. Tutaj zbiegają się różne Camino - z południa, ze wschodu i północy. Jest tu duży ośrodek i noclegownia dla pątników - miasteczko barakowe. Może tu przenocować kilka tysięcy pielgrzymów. Są też restauracje, bary, sklepy, jest pralnia. Jest też ośrodek polski im. Jana Pawła II, wiele miejsc do przenocowania, kaplica i polski ośrodek szkoleniowy. Tutaj najważniejsi są pielgrzymi, którzy przybywają z radością osiągnięcia zamierzonego celu. Jest to przedostatni etap pielgrzymki.

Dotarcie do katedry w Santiago i grobu św. Jakuba jest dla pątników zakończeniem pielgrzymowania. Potężna bryła trójnawowej Katedry z transeptem i licznymi kaplicami, z dwuwieżową barokową fasadą o bogatej dekoracji rzeźbiarskiej, posiada w swoim wnętrzu liczne zabytki. Piękne portale z głównym wejściem przyozdobionym Portykiem Chwały z drzewem Jessego zachwycają i onieśmielają. Od XII wieku pielgrzymi przekraczający próg świątyni kładą swoje dłonie na ten szczegół architektoniczny, a następnie udają się do dol-

nej części katedry, pod ołtarz, gdzie znajduje się srebrna trumna z relikwiami św. Jakuba Apostoła. Tutaj następuje najważniejsza refleksja modlitewna i osobista intencja każdego pielgrzyma, którą zawiera i przekazuje szczątkom doczesnym Świętego. Objęcie figury św. Jakuba znajdującej się w głównym ołtarzu stanowi zwieńczenie trudu wielodniowej pielgrzymki. Katedra posiada najślawniejszą na świecie kadzielnicę zwaną „botafumeiro”, którą z okazji ważnych uroczystości, podczas mszy św. uruchamia od trzech do pięciu mężczyzn. Jest to bardzo podniosła chwila. Amplituda wychylenia kadzielnicy jest tak duża, że zapiera dech w piersiach oczekujących pątników. Sama katedra jest dominantą dużego założenia architektonicznego, gdzie znajdują się kolegia, misje, pałac biskupi i wiele

instytucji kościelnych. Jest to jeden z najważniejszych kościołów pielgrzymkowych w średniowiecznej Europie, który obecnie przeżywa renesans.

Ostatnie trzy dni dobrze przeznaczyć na dojazd i zwiedzanie Camino de Fisterra. W średniowieczu wierzone, że zmierza ona na koniec ówczesnego świata. Z Santiago do Fisterri jest 141 kilometrów. Odległość tę pokonujemy lokalnym autobusem. Droga jest malownicza - biegnie górami, krańcami klifów. Rozciąga się z niej piękny widok na szare o tej porze dnia wody Atlantyku. Na noclegi można zatrzymać się w urokliwej miejscowości Finisterra, w hotelu „Ancora”. Nocleg za 11 euro zrekompensuje nam utratę sił na przebytych szlaku. Możemy zwiedzić oddalony o trzy kilometry od miasteczka przylądek Cabo Fisterra, a

szczególnie skałę, którą nazwano krańcem świata. Jest to urwisty cypel, zielony jak cały obszar Galicji z miejscową latarnią morską. Finisterra to niewielka osada rybacka; słynie z połowów mariscos - jadalnych morskich bezkręgowców (ostryg, langust, ośmiornic, homarów, małw, krewetek, kałamarnic). Na zakończenie pobytu warto skosztować dania z ośmiornicy zwanego pulpą i ciasta migdałowego „Tarta Santiago”. Do Bilbao wrócimy autobusem kursowymi, następnie przez Niemcy - do Polski. W drodze powrotnej przypomną się знаmienne słowa Jana Pawła II: „Człowiek tęskni za spotkaniem z Bogiem, a pielgrzymki kierują jego myśl ku przystani, do której może zawinąć na szlaku swoich religijnych poszukiwań”.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Bractwo spod znaku Nautilusa



Fot. J. Grabowski

maskami, płetwami, „fajkami”), ponadto z butlami, reduktorami, sprężarkami, głębokościomierzami, zegarkami, kamizelkami ratunkowymi. Potem w Słupsku. Jeszcze później w miasteczkach namiotowych opodal jezior: Bobęcina, Jasień, Marszewo, Nowęcina, Żydowo, Pil, Wdzydze. Wreszcie w Ustce i dalej w Bałtyku. Z coraz cięższym i kłopotliwszym balastem... By nie wspominać już o atrakcjach typu Morze Egejskie, fiordy Norwegii, „Gdzie złoto Inków?” (Kuba i brzegi okalających ją rozlewisk atlantycko-egzejskich).

Animatory ww. przedsięwzięć?

- Z weteranów - powiada Jacek Grabowski, szef oddziałowego Klubu Turystyki „Mikołajek” - Henryk Jarosiewicz (przysłowiowy spiritus movens „Nautilusa”), Andrzej Koczorowski, Marek Maciejewski, Henryk Moch, Ryszard Możejko (senior!), Andrzej Szkudniowski. Pośród aktualnie czynnych - Rafał Wróblewski, Marek Góralczyk, (od zawsze nr 2 w klubie!), Jacek Czyżyk, Mirosław Krętkowski, Błażej Kiepuszewski.

- Co warto, moim zdaniem, szczególnej uwagi - dorzuca Angelika Chybalska z koła PTTK w regionie - wśród pasjonatów „myszkowania pod wodą” nie brak i kobiet. Ot, choćby Karolina Baranowska, Grażyna Gazicka, Jolanta Pawelczyk, których staż i aktywność w „Nautilusie” bez wątpienia dorównują przynajmniej części wymienionych przez kolegę Jacka liderów KDP.

Szczerze gratulujemy wszystkim.

J. R. Lissowski, Słupsk

Zaczęło się tak - słyszysz w Regionalnym Oddziale PTTK. - Bodaj u progu zimy 1970 grupa 13 fanów z nieżyjącym od dość dawna Januszem Kocieniewskim ze Słupsku i jego kolegą z Ustki Włodzimierzem Opackim utworzyła Klub Turystyki Podwodnej „Nautilus”

turystyka aktywna

Turystyka podwodna? Żaden paradoks. Wszelkie nurkowanie wiąże się bowiem z ochronnym skafandrem, maską oraz kontaktową lub wdechową „fajką”. Przy tzw. głębokowodnym rybołówstwie - również z harpunem (sic), „zgarniaczem”, koszykiem. Et cetera. Późniejsze Kluby Działalności Podwodnej (203, w tym „Nautilus”, będące członkami Światowej Federacji DP) na równi z hobbistycznym wodniactwem zdecydowały się przecież traktować... porządkowanie śródlądowych i stosunkowo płytkich akwenów morskich, spełnianie roli „erki”, ba! szukanie wraków i topielców. Stąd nazwa (z greki), którą w roku 1970 przyjęli słupscy fani żeglugi i nurkowania, trochę zmieniła po latach swój pierwotny kształt i treść.

Wodniacka pasja stanowi jednak główny magnes, który przyciąga do tułtejszego klubu wszystkich 56 jego dzisiejszych członków. Od szesnastego roku życia. To bezwzględny wymóg statutowy. W grę wchodzi wszak mnóstwo graniczących, niekiedy z ryzykanctwem ćwiczeń. Najpierw w pływaniu SOSiR ze skafandrami,

W połowie lutego 1944 roku, przemierzając się w kierunku Podgrodzia, licząca około 500 osób V Brygada AK maszerowała obok wsi Ryteń. Szwadron porucznika Rymszy „Maksa” zamykał kolumnę.

Każda kresowa wieś na początku i końcu swych zabudowań miała ustawione krzyże, wokół których znajdowały się ma-lutkie, ogrodzone drewnianym płotkiem ogródki kwiatowe, pielęgnowane skrzętnie przez gospodynie należące do parafialnego kółka różańcowego.

Podjeżdżając konno do stojącego przy drodze krzyża, „Maks” spotkał przy nim „Łupaszkę”. Komendant miał przy sobie trzech trzynasto, czternastoletnich chłop-ców, którzy stojąc w zwartej grupce, wpa-trywali się w maszerującą kolumnę wojsk. Partyzanci prezentowali się okazale, byli dość dobrze ubrani i uzbrojeni. Zresztą, już sam widok wojska, robił na chłopcach nie-małe wrażenie. Komendant wyraźnie ocze-kiwał na niego.

- „Maks”, przekaz dowodzenie „Aka-cji”. Niech poprowadzi szwadron do miej-sca zakwaterowania we wsi Koreniaty - roz-kazał, jednocześnie wyjaśniając: - Ty zosta-niesz w Ryteniu, zarządziłem w swojej kwa-terze odprawę dowódców.

Po przekazaniu dyspozycji swoje-mu zastępcy, Rymsza zabrał ze sobą luza-ka „Bojara” i konno podjechali do kwatery komendanta, gdzie oczekiwali już: „Rako-czy”, „Kitek”, „Mścisław” i dwaj przyboczni komendanta: „Oran” i „Orszak”. Chwilę póź-niej przyszedł „Łupaszką”. Komendant miał przy sobie tych samych trzech urwisów, z którymi wcześniej stał koło krzyża. Chłopcy powiedzieli „Dzień dobry” i kierowani dłońmi „Łupaszkę” przemaszerowali przez cały pokój do kuchni, gdzie oddani zosta-li pod opiekę gospodarzy. Z ich wyglądu, a przede wszystkim ubioru, można było zo-rientować się, że pochodzą z miasta.

Gdy drzwi do kuchni zamknęły się, ko-mendant z niewesołą miną przemówił.

- Panowie, nie mam tym razem dla was żadnych rozkazów. Zebrałem was w in-nej sprawie. Pomóżcie mi wybrnąć z trudnej sytuacji. - Głos jego drżał, a w oczach zakrę-ciły się łzy, jakby stało się coś tragicznego. Wszyscy byli zaskoczeni, gdyż znając go, ni-gdy przedtem nie spotkali się z sytuacją, w której ich komendant czułby się bezradny.

- Chcę, żebyście pomogli mi w sytuacji, której sam rozwiązać nie potrafię. Widzieliście tych malców, których ze sobą przypro-wadziłem? Otóż wyobraźcie sobie, że musiecie po jednym z tych chłopców wziąć do siebie, do oddziału.

- Dowódcy spojrzeli po sobie ze zdzi-wieniem.

- Tak - potwierdził komendant. - W charakterze partyzanta. A dlaczego, to wam zaraz powiem.

Byłem w Ryteniu, gdy podeszło do mnie tych trzech łobuzów. - Jak nam się

Kto ty jesteś? Polak mały...



Fot. Archiwum Autora

Wziąłem chłopaka na ręce i tuląc do siebie, mówiłem: - Ty mój Polaku, mój patrioto... Co ci do głowy strzeliło? Wy przestańcie tak myśleć. Przed wami całe życie

zdaje, to pan jest tutaj najstarszy z partyzantów - zwrócili się do mnie. Zaśmiałem się i pytam: - A jeśli tak, to co byście ode mnie chcieli?

- My chcemy, żeby pan przyjął nas do partyzantki - wyrecytowali zgodnie. Popatrzyłem na nich zdziwiony i... pochwalilem ich odwagę. Bardzo ładnie - mówię. - Ro-śnięcie na prawdziwych patriotów. Ale do partyzantki przyjąć was nie mogę. Czy wi-dzieliście kiedyś wśród partyzantów chłop-ców, którzy powinni jeszcze chodzić do szkoły? Radzę, żebyście najpierw zgłosili się do harcerstwa.

- W harcerstwie już byliśmy - oświad-czyli poruszeni. Zaskoczony tą postawą próbowałem jak ojciec przekonać ich, by wrócili do szkoły.

- Musicie wrócić do rodzinnych do-mów. Jak przyjdzie czas, to kto wie, może weźmiemy was do swoich szeregów. Skąd pochodzicie, gdzie mieszkają wasze rodzi-ny? - zapytałem. Chłopcy posmutnieli. Okazało się, że cała trójka pochodzi z rodzin wojskowych. Ich ojcowie zamordowani zo-stali w Katyniu, a matki pracują w szpitalu u Niemców, jako pracownice fizyczne: sprzą-

taczki, praczki... Wszyscy trzej przywędro-wali z Wilna.

- Czy to był wasz pomysł, żeby starać się do partyzantki, czy ktoś tak wam pora-dził? - próbowałem dociec. Powiedzieli mi, że zaczęli myśleć o tym wówczas, gdy do-wiedzieli się o śmierci swoich ojców. Roz-mawiając z rówieśnikami, zasłyszeli infor-macje, że gdzieś w terenie tworzą się pol-skie oddziały partyzanckie. W niedługim czasie skontaktowali się z partyzantami. Wyobraźcie sobie, ktoś wtedy powiedział im - zapewne na odczepnego - że do party-zantki bez broni nie przyjmują. I wiecie, co oni zrobili? Zdobyli broń. Upatrzyli sobie na uboczu miasta mały zakład fryzjerski, gdzie chodzili się golić Niemcy, przyczaili się wie-czorem i wówczas, gdy dwóch Niemców siedziało na fotelach przed lustrami, a ich broń przytroczone do pasów wisiała na wieszakach, wpadli do zakładu, chwycili za pasy z bronią i czmychnęli w ciemności, każdy w innym kierunku. Kiedy wybiegli za nimi fryzjerzy z brzytwami i namydleni Niemcy, po chłopakach nie było już śladu.

Opowieść ta wzbudziła na chwilę we-sołość podkomendnych „Łupaszkę”. Ko-

mentant, zachowując jednak powagę, mówił dalej. Kiedy zebrali się w umówionym miejscu, radość ich nie miała końca. Zdobyli broń. Dwa nowe „Parabellum” z pasami. Teraz nie pozostało im nic innego, jak dowiedzieć się, gdzie przebywają partyzanci i spróbować szczęścia raz jeszcze.

Po przeprowadzeniu wywiadu, ustalili kierunek marszu, gdzie spodziewali się spotkać partyzantów i... opuścili rodziny... a wraz z nimi - „Łupaszka” wzruszył się - kochane Wilno... by złożyć swe dziecięce jeszcze życie na ołtarzu wolności Ojczyzny. By pomścić śmierć swoich ojców. Powrotu do Wilna nie brali pod uwagę, tłumacząc mi, że jeśli wpadną w ręce Niemców, to oni rozstrzelają ich matki, a do tego przecież dopuścić nie mogą.

Ostatecznie zadałem im pytanie: - I cóż wy zrobicie, jak ja was do partyzantki nie przyjmę? Jeden z nich - najśmielszy - odpowiedział: - Jak pan mnie do partyzantki nie przyjmie, to ja nie mam innego wyjścia, powieszę się na najbliższym drzewie, a pan będzie miał na sumieniu moje życie.

I w tym momencie, przed takim argumentem - podkreślił „Łupaszka” - skapitulowałem. Wziąłem chłopaka na ręce i tuląc do siebie mówiłem: Ty mój Polaku, mój patrioto... - Nie mogłem powstrzymać się od łez. - Co ci do głowy strześliło? Wy przestańcie tak myśleć. Przed wami całe życie. Wezmę, przyjmę całą trójkę, tylko... musicie pozbyć się tak tragicznych myśli. Chłopcy płakali ze szczęścia, a ja z nimi. Wyobraźcie sobie, co ja przeżywałem, patrząc na te polskie dzieci, przyszłość polskiego narodu, na te pacholęta patrzące mi natarczywie w oczy błagalnymi niebieskimi oczkami, wychowane w patriotycznym duchu na zasadach katechizmu dziecka polskiego: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały...”

Zrozumcie mnie, nie miałem sumienia im odmówić. Musicie mi pomóc. Nie chciałem ryzykować śmiercią tak wartościowych

kandydatów na obywateli polskich. By ich uratować dla przyszłości, musiałem złożyć obietnicę przyjęcia do oddziału. Co wy, panowie na to? - „Łupaszka” stał przed nimi i... płakał. Oni, wysłuchawszy tej przemowy, także byli wzruszeni. W pokoju zapanowało milczenie, które w końcu zdecydował się przerwać „Rakoczy”.

- A może by ich wykorzystać w charakterze łączników i pod jakimś pozorem wysłać do Wilna? Tam, jak wpadną w ręce rodziny, być może zastanowią się i zrezygnują z partyzantki?

- Miałbym takiego partyzanta wozić przytroczonego do siodła, żeby mi się nie zgubił? - zażartował „Maks”. Jego koledzy zaczęli się śmiać, ciężka atmosfera, jaka narosła wokół sprawy chłopców, zaczęła powoli rozpląwać się. Po krótkiej dyskusji wszyscy poparli propozycję „Rakoczego”.

- Nie takiego rozwiązania oczekiwałem - przyznał się „Łupaszka”. - To jest salomonowe rozwiązanie, ale zgadzam się. Niech jadą do Wilna, zobaczymy.

Zaraz „Oran” przygotował list do znajdującego się w Wilnie adiutanta „Łupaszki” - „Ronina” i po wręczeniu chłopcom listu, skierowano ich do Wilna. Oczywiście przed wyjściem najpierw nakarmiono ich solidnie, a sam komendant przeprowadził z nimi długą, pouczającą rozmowę. Odeszli zadowoleni z pierwszego powierzonego im zadania i z nadzieją dołączenia po powrocie do oddziału partyzanckiego. Oficerowie odetchnęli, pozbywając się obowiązku przyjęcia na siebie opieki nad tak ofiarnymi, lecz przecież jednak kłopotliwymi partyzantami.

Tydzień później z zamiarem kilkudniowego postoju, zatrzymali się w Sużanach. „Maks” ze swoim szwadronem zatrzymał się w odległości około 2-3 kilometrów od kwatery „Łupaszki”. Komendant zarządził szkolenie w plutonach, partyzanci doskonalili się w musztrze i terenoznawstwie. Po obiedzie przybył konno goniec od kome-



danta z poleceniem, by Rymsha zaraz zameldował się u niego w Sużanach.

Podjeżdżając pod kwaterę „Łupaszki”, mógł domyślić się o co chodzi. Koło domu na ławeczce siedziało tych samych trzech urwisów, których przed tygodniem wysłali do Wilna. Zostawiając z końmi „Bojara”, zameldował się u komendanta. Po przywitaniu się z nim, komendant rozłożył ręce.

- Nie ma innego wyjścia „Maks”, musisz jednego zabrać pod swoją opiekę.

Chłopcy dotarli do Wilna i po uzyskaniu potwierdzenia doręczenia meldunku „Roninowi”, z dumą zameldowali się u komendanta. Jak okazało się, nie było to łatwe, gdyż nie przewidując, że powrócą, nie podali im, gdzie mają ich szukać po powrocie. Chłopcy przybyli w miejsce, z którego zostali odesłani. Widząc, że partyzantów tam już nie ma, prowadzili wywiad i natrafiając na członka ich organizacji, który mimo zaskoczenia tym, iż sytuacja zmusza



Węgierski Październik w polskich wydawnictwach niezależnych w latach 1970 - 1989

Nie było w Polsce liczącego się poety, który na łamach prasy codziennej lub kulturalnej nie wyraziłby solidarności z walczącym, pokonanym i sterroryzowanym narodem węgierskim

„Łupaszka” stał przed nimi i... płakał.

postawy

partyzantów do korzystania z tak nietypowych łączników, podał im kierunek, w którym udała się Brygada. Z Ryteni do Sużan było około trzydziestu kilometrów. W części odległość tę chłopcy przeptynęli z biegiem rzeki Wilii łódką skradzioną gospodarzowi.

Żał im jednak było gospodarza, który wciąż szedł brzegiem za nimi, i postanowili zwrócić mu łódź. Żeby jednak nie dostać od niego w skórę, nakazali mu zatrzymać się na wysokim brzegu, tak by był widoczny z daleka, a sami podpłynęli do zarośli, w których po pozostawieniu łodzi na brzegu, mogli się przed nim ukryć. Dalszą drogę do Sużan odbyli pieszo, wykorzystując przygodnych informatorów i wiadomości z terenoznawstwa, jakie zdobyli w harcerstwie. Gdy zameldowali się u „Łupaszkii”, ten nie miał już innego wyjścia, jak tylko powierzyć ich opiece swych podkomendnych.

W dworku w Sużanach, gdzie znajdowała się kwatera „Łupaszkii”, przywołano mu wszystkich trzech chłopców do pokoju. Wyrażając dla nich pochwałę za sprawne dostarczenie meldunku, „Maks” ustawił ich według wzrostu i zapytał: Który z was chce służyć w moim plutonie? - Wystąpił najniższy wzrostem, blondynek z niebieskimi oczkami. Licho odziany, ale odważny i uśmiechnięty.

- Jak się nazywasz? - zapytał Antoni.

- Rajmund Drozd - odpowiedział. Chłopiec był śmiały, rozgarnięty, typowe dziecko wileńskiej ulicy. Miał trzynaście lat. Później „Maks” skierował go do „Orana”, by mu nadano pseudonim. Szybko wrócił i oznajmił, że będzie się nazywał „Mikrus”.

Drugiego chłopca zabrał od komendanta „Rakoczy”. Nadano mu pseudonim „Zajączek”. Pseudonimu trzeciego, który trafił do „Pancernego”, Rymsza nie zapamiętał.

Po uzgodnieniu z komendantem, którego chłopaka zabiera, „Maks” wyszedł z nim na podwórze i skierował się w stronę koni.

- Mamy nowego partyzanta - zażartował do „Bojara”.

- Większego już nie było? - zaśmiał się luzak. „Maks” wsiadł na konia, Rajmund jedną ręką podniósł z ziemi za kołnierz i posadził na siodło przed siebie. Ruszając w stronę miejsca postoju swojego szwadronu, zastanawiał się, jak to przyjmą jego żołnierze. Jak ma im powiedzieć, że to jest partyzant trzeciego szwadronu?

Podjeżdżając do miejsca, gdzie stała część oddziału konnego, spotkał „Akację” z kilkoma partyzantami, zajętych szkoleniem.

- A cóż to za malucha dowódca nam wiezie? - zażartował Janek.

- Nowy partyzant, nie widzicie? - z uśmiechem wyjaśnił „Maks”. „Akacja” - jak zwykle w dobrym humorze - żartował nadal.

- Do partyzantki? To dawaj nam go do kawalerii.

- Koni się nie boisz? - „Maks” zapytał chłopca.

- Nie.

- A chcesz do oddziału konnego? - Chłopak bez namysłu odpowiedział, że tak. Gdy zdejmował go z konia, „Akacja” osłupiał; nie dowierzając. No cóż, słowo się rzekło. Jego zastępca zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Zorientowawszy się w mig, że dowódca nie żartował, powitał „Mikrusa” w oddziale.

- Na cześć nowego partyzanta hip, hip, hura! - zawołał.

- Hura! Hura! Hura! - odpowiedzieli żołnierze. Kiedy chłopcu nadano pseudonim i przyszedł, by to powiedzieć, „Maks” zauważył, że ma on przy sobie jakiś stary pistolet niemiecki i kompas. Od „Łupaszkii” zabrał przecież „Mikrusa” z „Parabellum”? Obejrzał chłopakowi pistolet i widząc, że jest to „zabawka” - miał złamaną iglicę - zapytał:

- „Mikrus”, a gdzie twoje zdobyczne „Parabellum”? - „Mikrus” wyjaśnił, że za-

mienił pistolet z jednym z partyzantów.

- Pamiętasz z którym?

- Tak, panie „Maks” - odpowiedział.

- Ładnie - pochwalił go. - Widzę, że z ciebie będzie prawdziwy partyzant. A teraz idź, odszukaj tego, który zamienił się z tobą i powiedz, że „Maks” nie zgodził się na tę wymianę. Partyzantowi nie wolno wykorzystywać niewiedzy innych. Ten pistolet, który ci dali, jest zepsuty.

Gdy „Mikrus” powrócił ze swoim „Parabellum”, „Maks” wrócił na kwaterę. Rano następnego dnia, już w nowym ubranku, na małym koniku „Mikrus” ćwiczył na podwórze jazdę konną w siodle. Jego instruktorem był „Akacja”. Janek, a także sanitariuszka „Aldona”, otoczyli chłopaka serdeczną opieką. Pod ich okiem „Mikrus” szybko zapoznał się z partyzanckim życiem i w krótkim czasie stał się ulubieńcem całego plutonu.

Mimo młodego wieku chłopiec był wspaniałym żołnierzem. Odpornym i wytrzymałym na trudy życia partyzanckiego, które do końca znosił bez skarg i narzekania. Jako żołnierz spełniał każde polecenie wzorowo. Wykorzystywany był w charakterze gońca-łącznika. Wyróżniał się inteligencją, sprytem, a także odwagą i łobuzerską fantazją. Łączył w sobie zalety: kuloodporny, nieprzemakalny i niezamrażalny. Taki był „Mikrus”.

Wróciwszy na kwaterę, całą historię z „Mikrusem” Antoni opowiedział majorowi „Sulimie”. Jego bliski znajomy z konspiracji w rejonie świrskim - major Stefan Świechowski „Sulima”, od dwóch tygodni odbywał w Brygadzie praktykę dowódczą. Major akceptował decyzję „Łupaszkii” i pochwalił jego stosunek do patriotyzmu oraz ludzi, którzy kierują się nim.

Na najcięższej wobec Polaków sowieckiej zdradzie, jaką był Katyń, wychowało się wielu późniejszych patriotów, wśród których był także „Mikrus”.

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

Fot. Archiwum Autora



Fot. Archiwum

Wiadomo jaką reakcją, jaki odgłos wywołały wydarzenia węgierskie w 1956 roku w polskiej opinii publicznej i elitach intelektualnych. Oprócz wspólnych celów politycznych i narodowych oraz powszechnej świadomości wspólnoty losu i zagrożenia, ogromną rolę odegrały w tym przejmujące i obiektywne relacje polskich dziennikarzy z Budapesztu (Hanna Adamiecka, Marian Bielecki, Leszek Kołodziejczyk, Zygmunt Rzeżuchowski, Krzysztof Wolicki, Wiktor Woroszyński), opowiadania świadków wydarzeń, którzy dotarli na Węgry z pomocą humanitarną (Andrzej Bratkowski) lub młodych Polek i Polaków, studiujących na Węgrzech i biorących aktywny udział w naszej rewolucji (np. Lidia Widajewicz, Hanna Linseman-Kwaśniewska, Zdzisław Dzitko, Edward Liszewski) oraz programy nadawane przez

zachodnie radiostacje (RWE, BBC, Głos Ameryki).

Stan świadomości, aspiracje polityczne, uczucie solidarności społeczeństwa polskiego z Węgrami dobrze ilustruje książka Pawła Machcewicza „Polski rok 1956”, napisana głównie na podstawie ówczesnych meldunków współpracowników i pracowników SB o nastrojach społecznych oraz zbiór dokumentów „Rewolucja węgierska 1956 w polskich dokumentach” w opracowaniu Jánosa Tischlera.

Nie było w Polsce liczącego się poety, który na łamach prasy codziennej lub kulturalnej nie wyraziłby solidarności z walczącym, pokonanym i sterroryzowanym narodem węgierskim.

Względna wolność prasowa - kiedy mogły ukazywać się obiektywne relacje o wydarzeniach węgierskich - trwała tylko do

Od kilku lat w Słupsku i powiecie słupskim organizowane są przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Słupsku (pełniącą też zadania biblioteki powiatowej) Dni Kultury Węgierskiej. Uczestniczy w nich m.in. od samego początku Ákos Engelmayer, były ambasador Węgier w Polsce, mieszkający obecnie w Podkowie Leśnej. W ramach prowadzonej słupsko-węgierskiej współpracy odbywają się w różnych środowiskach spotkania z węgierskimi gośćmi i prowadzone są odczyty na temat polsko-węgierskiej współpracy i przyjaźni. Poniższy tekst, który ze względu na objętość publikujemy z pominięciem długich przypisów, był m.in. tematem ubiegłorocznych Dni Kultury Węgierskiej. (z)

początku 1957 roku, potem cenzura stopniowo obejmuje swoją kontrolą na nowo całą prasę. Kulminacją tego procesu następuje jesienią 1957 roku, kiedy zlikwidowany zostaje tygodnik „Po Prostu”. Mimo nacisku kierownictwa partii i cenzury - jak to wynika z prac badawczych Jánosa Tischlera - w polskich środkach masowego przekazu do grudnia 1956 roku nie użyto słowa „kontrewolucja” w związku z wydarzeniami węgierskimi. Ze względu na opinię publiczną tylko w Polsce - jedynym kraju w obozie socjalistycznym - nie wydano osławionej „Białej Księgi” i nie pokazano wystawy ilustrującej „potworności białego terroru kontrewolucji szalejącej na Węgrzech”.

Być może w ramach naprawiania tego błędu PZPR, niebawem po ukazaniu się na Węgrzech (1967) książki „pokazującej prawdy o kontrewolucji” Ervina Hollósa „Kim byli, czego chcieli”, wydano ją również po polsku.

Jednak ani to, ani coraz bardziej agresywna propaganda partyjna nie miały zbyt wielkiego wpływu na świadomość i poglądy polskiej opinii publicznej. I tu pragnę podkreślić, że polska publicystyka (mam tu na myśli przede wszystkim Jerzego Roberta Nowaka) bardziej wielostronnie, bardziej obiektywnie pokazywała węgierską rewolucję niż robiono to na Węgrzech. Nie można nie wspomnieć - mimo zastrzeżeń zarówno wobec autora książki, jak i wobec książki - bardzo popularnej wówczas powieści Wojciecha Żukrowskiego „Kamienne tablice”, która mimo ingerencji cenzorskiej (samego Zenona Kliszki), a później autocenzury, zawierała wstrząsające fragmenty o rewolucji węgierskiej i wywołanej przez nią reakcji na świecie. Warto dodać,

że kierownictwo węgierskie złożyło oficjalny protest z powodu wydania tej książki.

Poważną rolę w zachowaniu pamięci o węgierskim 1956 roku odegrała emigracja polska, wydawnictwa ukazujące się na Zachodzie i szmuglowane do kraju. Na łamach paryskiej „Kultury” w 1960 roku ukazały się



wiersze węgierskich poetów emigrantów 1956 roku ze wstępem Czesława Miłosza. W „Kulturze” wydrukowano również wspomnienie Györgya Gömöriego „Z dziennika naocznego świadka”. Niestychanie ważnym jest tom „1956. Dwadzieścia lat później z

myślą o przyszłość” i, zawierający materiały z konferencji naukowej, która odbyła się w Paryżu z okazji dwudziestej rocznicy Polskiego i Węgierskiego Października. Ten ostatni wydany był również w latach osiemdziesiątych w drugim obiegu w Polsce.

Pragnę podkreślić - na podstawie moich osobistych doświadczeń - że Październik 56, w tym i Powstanie Węgierskie, jeszcze na przełomie lat 60. i 70. był żywym tematem dla studentów warszawskich, poznańskich czy krakowskich - ku zaskoczeniu i zgorszeniu członków oficjalnych delegacji węgierskich.

Pod znakiem dwutorowości propagandy i pamięci politycznej dochodzimy do sierpnia 1980 roku. Ta dwutorowość obecna będzie przez cały okres legalnego działania, a potem podziemnego istnienia „Solidarności” aż do 1989 roku.

Świadczy o niej artykuł Jerzego Roberta Nowaka „Węgierskie doświadczenia”, który przedstawia „liberalny kadaryzm” jako sposób lub drogę rozwiązania kryzysu w Polsce. A czyni to w październiku 1980 roku, po podpisaniu porozumień gdańskich. Jednak na usprawiedliwienie autora wyjaśnić trzeba, że ten obszerny i świadczący o (nie)znajomości przedmiotu artykuł powstał jeszcze przed sierpniowymi strajkami i jest odzwierciedleniem opinii wielu czołowych publicystów polskich, którzy starali się grać „węgierską kartą reform” przeciwko systemowi gierkowskiemu, pogrążającemu się coraz bardziej w kryzysie.

Od tego czasu „przykład węgierski”, czyli Rewolucja i Powstanie Węgierskie, „bratnia pomoc”, a po niej brutalne i powszechne represje z jednej strony są dla władz środkiem zastraszenia społeczeństwa (np. tuż przed wprowadzeniem stanu

wojennego, w październiku 1981 roku TVP - jako ostrzeżenie - wyemitowała program prowadzony przez Tadeusza Olszańskiego z udziałem głównego specjalisty od „kontrrewolucji”, sekretarza KC WSPR Jánosa Becrecza, uzupełniony przejmującymi fragmentami z nawet już na Węgrzech skompromitowanego „dokumentalnego” filmu „Tak było”), z drugiej zaś strony pojęcia „rozwiązania kadarowskie”, „kadarowska stabilizacja i otwarcie” służą siłom reformistycznym w PZPR w potyczkach z partyjnym betonem.

Tym chyba można tłumaczyć fakt, że po wprowadzeniu stanu wojennego ukazywało się wiele obszernych artykułów i wiele wysokonakładowych wydawnictw książkowych, prezentujących oczywiście czasem nieco różniące się od siebie punkty widzenia i stanowiska władz.

Równolegle opozycja lat siedemdziesiątych, a później „Solidarność” świadomie sięgały po tradycje wolnościowe, niepodległościowe, jako przykład rad robotniczych Października, zarówno Polskiego, jak i Węgierskiego.

W 1979 roku ukazał się po raz pierwszy po polsku w całości, bez ingerencji cenzorskiej - oczywiście w drugim obiegu - „Dziennik węgierski” Wiktora Woroszylskiego. Książka ta, w której zawarta ocena wydarzeń i dziś wydaje się miarodajna, odgrywała ogromną rolę w kształtowaniu świadomości społecznej i dała okazję starszej generacji do przypomnienia, a młodszej do zapoznania się z historią, faktami, bohaterami, celami, ideologią i wreszcie - ale nie na końcu - czystością rewolucji węgierskiej. Nic nie świadczy lepiej o popularności książki, o czytelnym zapotrzebowaniu na nią, niż fakt, że „Dziennik węgierski” do wprowadzenia stanu wojennego miał trzy, a potem do 1989 roku, cztery wydania, oczywiście wszystkie poza zasięgiem cenzury.

Tak samo popularne były wspomnienia komendanta milicji budapesztańskiej, sądownego w procesie Imre Nagya Sándora Kopácsiego „13 dni nadziei”, które po raz pierwszy ukazały się w „Der Spiegel” w 1979 roku.

Na łamach „Zapisu”, pierwszego niezależnego pisma literackiego, wydrukowany został obszerny fragment poświęcony powstaniu książki pisarza-opozycjonisty Györgya Konráda „Współwinowajca”.

Lepszemu zrozumieniu Powstania Węgierskiego służył zbiór dokumentów „Z historii wydarzeń węgierskich” wydany na powielaczu przez Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWA w serii „Biblioteka Robotnicza”. Ciekawostką tej pozycji jest fakt, że po raz pierwszy ukazała się w 1957 roku w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych wyłącznie na ściśle wewnętrzny użytek. Prawdopodobnie wydana w 1981 roku książka „Węgry. Dokumenty i materiały - lipiec 1956 - czerwiec 1957” miała być przeciwwagą lub miała neutralizować wpływ

tego rzeczowego zbioru dokumentów.

Niewątpliwie ważną rolę odegrało - głównie wśród studentów - obszerne opracowanie Jerzego Roberta Nowaka „Trudne lata. Węgry 1949 - 1956” wydane przez Ośrodek Pracy Politycznej „Sigma” SZSP do użytku wewnętrznego.

Dobrym przykładem wyżej wspomnianej dwutorowości jest fakt, że po wprowadzeniu stanu wojennego propaganda telewizyjna przedstawiła również tę książkę jako wrogą i destrukcyjną. A była ona przecież punktem wyjścia, podstawą do blisko trzystustronicowej książki tegoż autora „Węgry. Burzliwe lata 1953 - 1956”, która w swoim założeniu dosyć zasadniczo odbiega od pierwowzoru, przemilczając krwawe represje kadarowskie, dając argumenty dla komunistów-reformatorów w postaci „liberalizmu Kádára”.

W czasie legalnej działalności „Soli-



dnarłości” wśród czytelników spragnionych wolnego słowa duże wrażenie wywołało opracowanie Gyuli Dénesa (Iván Bába) „Robotnicy na Węgrzech”, które ukazało się w numerze listopadowo-grudniowym 1980 roku bezdebitowego pisma „NTO”. Artykuł ten był następnie przedrukowany przez wiele gazet zakładowych NSZZ „Solidarność”.

To samo pismo w numerze wrześniowo-październikowym 1981 roku poświęciło węgierskiej rewolucji aż 42 strony:

- Kalendarium od 1918 do roku stracenia Imre Nagya (16 czerwca 1958 roku);
- Andrzej Strumiłło: „Kolejarzowi z Budapesztu” (wiersz);
- Dora Scarlett: „Widok na Węgry” (reportaż z 1956 roku);
- Fragment z reportażu „Tragedia węg-

ierska” Petera Fryera, dziennikarza „Daily Worker”;

- István Bibó: „Apel do Węgrów” (4 listopada 1956 roku);

- Balázs Nagy: „Centralna Rada Robotnicza Budapesztu i Dwa dokumenty” (22 i 23 listopada 1956 roku).

Przed 13 grudnia 1981 ważną lekturę stanowiły prace Andrzeja Kelles „Węgry 1956” i Ferenc Fehéra „Kadaryzm czyli chruszczowowskie państwo wzorcowe”. Ta ostatnia tłumaczona była z angielskiego.

Niech mi będzie wolno przytoczyć moje osobiste doświadczenia mówiące o tym, w jakim stopniu wyżej wymienione publikacje kształtowały świadomość polityczną aktywnej części polskiej opinii publicznej, a przede wszystkim młodzieży. W 1981 roku miałem kilkanaście odczytów w różnych polskich szkołach średnich, a nawet podstawowych, na temat wspólnych węgiersko-polskich walk wolnościowych, o wzajemnym udziale w naszych powstaniach, o pomocy w najtragiczniejszych chwilach dziejów naszych narodów, czym pragnęłam wyjaśnić i udowodnić, że jeśli nastąpi „bratnia pomoc”, a w niej uczestniczyć będą węgierskie siły zbrojne, to dziać się to będzie nie z woli narodu, lecz WSPR. Na tych spotkaniach często mówiliśmy o polsko-węgierskiej współpracy w roku 1956 i wtedy właśnie okazało się, że młodzież polska więcej wie o walkach pod koszarami Kiliana i w zaułku Corvina, na placu Széna, o generale Pála Maléterze, o Imre Nagy i jego straconych towarzyszach, niż ich węgierscy rówieśnicy. Było to dla mnie wspaniałe, ale jednocześnie tragicznie smutne i bolesne doświadczenie.

Po szoku 13 grudnia 1981 roku, po masowych aresztowaniach i internowaniach opozycja polska szybko się otrząsnęła.

Po przełamaniu pierwszego strachu ruszyło wydawanie, kolportaż podziemnej prasy i książek. Według miarodajnych ocen do 1989 roku ukazało się 3500 - 6000 tytułów prasy bezdebitowej, oczywiście w różnych nakładach, objętościach i o różnej częstotliwości. Czas ich ukazywania się naturalnie też jest zróżnicowany. „Katalog czasopism niezależnych wydanych w latach 1976-1990 w zbiorach Archiwum Peerelu” przygotowany przez Ośrodek KARTA, w pierwszym wydaniu zawierał 1700 tytułów, lecz po krótkim czasie liczba ta (udokumentowana) wzrosła do 2350. W archiwum książkowym KARTY przechowywane są 3867 książek (tytułów) wydanych nielegalnie. Opracowanie materiałów przekazanych i przechowywanych w archiwum prasowym i książkowym KARTY odbywa się stopniowo, dlatego tylko z grubsza mogę opisać, jakie wydawnictwa

dotyczące węgierskiego roku 1956 ukazały się w podziemiu między 13 grudnia 1981 a końcem 1989 roku. Wraz z rozwojem niezależnego ruchu wydawniczego wychodziło coraz więcej ambitnych pozycji dotyczących Powstania Węgierskiego. Zaczęły się ukazywać książki tłumaczone bezpośrednio z węgierskiego (Péter Gosztonyi, Bill Lomax). Można zaryzykować stwierdzenie, że większość pism zakładowych i nie tylko, co roku - w różnej formie - wspominała o kolejnych rocznicach Węgierskiego Października. Temat ten - z wyżej wymienionych powodów - czeka jeszcze na całościowe, szczegółowe opracowanie.

Żywą reakcją - głównie w kręgach inteligencji - wywołało obszerne studium Zbigniewa Brzezińskiego „Jedność, czy konflikty? Węgry 1956”, które opisuje i analizuje wydarzenia węgierskie w szerokim kontekście międzynarodowym.

„Pál Maléter: rewolucyjny generał” emigracyjnego historyka węgierskiego Petera Gosztonyiego doczekał się kilku wydań. W numerze 16/1983 niezależnego czasopisma „Krytyka” Andrzej Kamiński w artykule „Anachronizm, czy męczeństwo?” analizuje działalność polityczną prymasa Węgier Józsefa Mindszentyego. Artykuł ten uzupełniony jest przemówieniem radiowym Prymasa, wygłoszonym 3 listopada 1956 roku oraz tekstem porozumienia między rządem WRL i Episkopatem Węgier.

Przykładem zainteresowania polskich historyków wydarzeniami węgierskimi mogą być dwie prace: Wojciech Lizak „Węgry 1956: próba zapisu wydarzeń” i Galicjanin (Andrzej Kastory) „Komuniści na Węgrzech 1945-1956”.

Bardzo interesujące jest rozważanie Maksymiliana Myszkowskiego (Maciej Koźmiński, obecny ambasador RP w Budapeszcie) o możliwościach „normalizacji” politycznej w Polsce na przykładzie węgierskim.

Wreszcie dochodzimy do trzydziestej rocznicy Powstania Węgierskiego. Z tej okazji wydawnictwa podziemne rzuciły na niezależny rynek czytelniczy kilka poważnych pozycji: Bill Lomax: „Węgry 1956”, György Mikes: „Powstanie Węgierskie”, „Budapeszt oczami polskich dziennikarzy”. Ukazały się fragmenty wspomnień „W imieniu klasy robotniczej” Sándora Kopacsiego. Książka ta w całości ukazała się w 1988 roku. „Dziennik węgierski” Wiktora Woroszyńskiego do czekał się kolejnych wydań.

Można było przeczytać kilka artykułów Alberta Camusa: „Odpowiedzi na apel”, „Orędzie dla Węgier”, przedmowa do książki „Prawda o sprawie Nagya”. Ukazała się w Londynie, a potem została przeszluglowana do Polski, częściowo dwujęzyczna antologia „Polscy poeci o Węgierskim Październiku”. W Warszawie czytelnicy dostali do rąk również dwujęzyczną antologię poezji pt. „My i Wy - Mi és Ti”: polscy poeci o

węgierskiej rewolucji, a węgierscy poeci o Polsce.

Oprócz książek ukazały się serie podziemnych znaczków, przypominających tragedię węgierską i kasetą magnetofonową z archiwalnymi nagraniami, dokumentami tego okresu.

Dobrze charakteryzuje stosunek nielegalnych organizacji i struktur „Solidarności” do trzydziestej rocznicy kilka wyrwanych przykładów z podziemnej prasy. „Biuletyn Dolnośląski” publikuje na pierwszej stronie fragmenty z książek György Mikesa i Wiktora Woroszyńskiego, ilustrowane rysunkiem z podpisem „30 lat temu - najazd na Węgry”. „PWA” (Przegląd Wiadomości Agencyjnych) z fotografiami i artykułami wstępnymi przypomina dni 23 października i 4 listopada 1956 roku. Na łamach chyba o największym wtedy nakładzie „Tygodnika Mazowsze” uczestnik powstania, wieoletni więzień, dysydent László Krassó w obszernym wywiadzie opisuje wydarzenia węgierskie.

Wiele niezależnych pism i miesięczników publikuje wspólny apel węgierskiej, polskiej, czechosłowackiej, rumuńskiej, enerdownskiej opozycji skierowany do światowej opinii publicznej, wzywający do uczczenia rocznicy Węgierskiego Października.

23 października 1986 roku, w rocznicę wybuchu Powstania, naprzeciwko Am-

Sowieckie lotniskowce

W końcu lat czterdziestych rozpoczęto w Związku Sowieckim prace projektowe nad nowymi lotniskowcami. Krążowniki typu Moskwa weszły do historii jako pierwsze sowieckie okręty wojenne przenoszące na pokładach grupy powietrzne, złożone ze śmigłowców

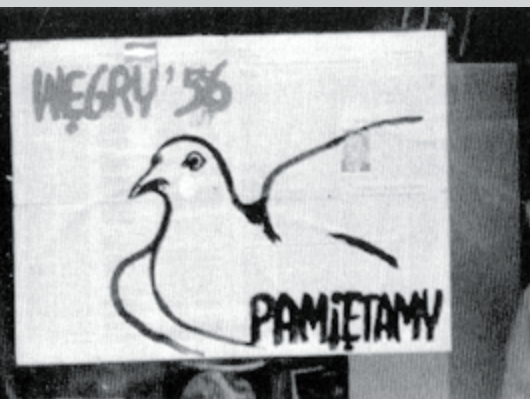
Sowiecka Marynarka Wojenna bardzo późno przystąpiła do prac nad wykorzystaniem sił powietrznych nad morzami, choć plany wprowadzenia lotniskowców do służby w sowieckiej flocie wojennej istniały od wczesnych lat trzydziestych ubiegłego wieku. Dowództwo i sztab marynarki sowieckiej podążyły zrazu za innymi flotami, wychodzącymi na szerokie wody morskiej „awiacji”, lecz ogromny kraj realizował wtedy pierwszy ze sławnych planów pięcioletnich i coś takiego jak lotniskowce zeszło na dalszy plan. Sam Józef Stalin był gorącym zwolennikiem wykorzystania nowej broni pod sowiecką banderą wojenną i za jego kadencji rozpo-

częto prace projektowe przy dwóch lotniskowcach.

Wstrzymano je jednak po wybuchu drugiej wojny światowej w obliczu innych, pilniejszych potrzeb. Bezpośrednio po wojnie, pod wpływem prowadzonych analiz osiągnięć floty amerykańskiej na polu wykorzystania sił powietrznych nad Pacyfikiem, w sztabie Sowieckiej Marynarki Wojennej sięgnięto na powrót po stare plany. Na przeszkodzie w szybkim wprowadzeniu ich w życie stanęły ogromne zniszczenia i wyczerpanie Związku Sowieckiego ledwie zakończoną wojną, w każdym zaś razie spowodowały one znaczne opóźnienie w rozwoju jej własnych lotniskowców. Bez wątpliwości priorytetową



basady WRL w Warszawie umieszczono na ogrodzeniu parku transparent, który głosił: „Węgry 56 - Pamiętamy! Solidarność Walcząca”. Plakat o podobnym tekście naklejono przy wejściu do Węgierskiego Instytutu Kultury. W stolicy (między innymi przed Ambasadą WRL) i w kilku innych miastach rozrzucono kilkanaście tysięcy dwujęzycznych



nych ulotek przypominających wciąż żywą węgiersko-polską tradycję 1956 roku.

Dla uczczenia pamięci bohaterów i ofiar Powstania Węgierskiego w Krakowie, w kościele dominikanów zorganizowano przez ojca Józefa Pułdowskiego przedstawienie światło-dźwięk.

Punkt kulminacyjny niezależnych obchodów miał miejsce w kościele parafialnym w Podkowie Leśnej. W maju 1980 ro-

ku odbyła się tu głódówka, w której brał udział weteran węgierskich dysydentów Tibor Pákh. Ks. Leon Kantorski podczas uroczystej mszy za ojczyznę Węgrów i Polaków poświęcił pierwszą w tej części Europy (przed Węgrami!!!) tablicę upamiętniającą Węgierski Październik. Na granitowej płycie, ozdobionej symbolem Powstania - herbem Kossutha - umieszczono napis: „Poległym i zamordowanym w 30. rocznicę Powstania Węgierskiego - Az elesettek és meggyilkoltak emlékére - a magyar forradalom 30. Évfordulóján”. Na uroczystości, w której uczestniczyło kilkaset osób, porządkowi z czerwono-biało-zielonymi opaskami nie tylko sprzedawali antologię „My i Wy - Mi és Ti”, lecz zapobiegali także wszelkim ewentualnym prowokacjom. Po nabożeństwie młody historyk krakowski Wojciech Frazik wygłosił prelekcję o wydarzeniach węgierskich, a potem w dobrze strzeżonym

podziemiu kościoła publiczność mogła obejrzeć wystawę fotograficzną o Powstaniu Węgierskim (na podstawie tego materiału powstała ekspozycja „Poznań - Budapeszt 56”, która pokazana była w Poznaniu, Budapeszcie, Petersburgu, Moskwie, Kijowie i Mińsku). A wszystko to działo się jeszcze w warunkach politycznego i milicyjnego terrorku: w nocy po poświęceniu tablicy, „nieznani sprawcy” obalili i zbezczeszczyli posąg

patrona kościoła - św. Krzysztofa, stojący w ogrodzie przykościelnym. Tablica, ukryta po nabożeństwie, powróciła do kościoła po wyborach 1989 roku.

Po trzydziestej rocznicy uwaga polskiej opozycji i niezależnych wydawnictw zwracała się bardziej ku bieżącym wydarzeniom politycznym na Węgrzech. Interesowano się sytuacją i działalnością węgierskiej opozycji, krytyką kadaryzmu, programem burzenia wsi siedmiogrodzkich, itp.

Pojawiło się jeszcze kilka pozycji związanych z węgierskim rokiem '56, ale są to już prace analityczne, jak np. Hannah Arendt: „Rewolucja węgierska a imperiaлизм totalitarny.”

Listę artykułów, rozpraw, książek poświęconych Powstaniu Węgierskiemu, wychodzących w podziemiu zamyka w 1989 roku praca Jánosa Kisa „Węgry 1956-57: czas odbudowy systemu”.

Ákos Engelmayer, Podkowa Leśna

Ilustracje, repr. z: Victor Sebestyén, Dwanaście dni. Rewolucja węgierska 1956, Wydawnictwo Magnum, Warszawa 2006; Miklós Horváth, 1956 Rozstrzelana rewolucja. Walka zbrojna Węgrów z interwencją sowiecką, Wydawnictwo WINGERT, 2006.

Autor, ur. w 1938 r. był uczestnikiem Powstania Węgierskiego 1956 roku. Od 1962 przebywa w Polsce. Współpracował z polską opozycją. Od września 1990 do stycznia 1995 roku był ambasadorem Węgier w Polsce.

była wtedy dla sowieckich władz kwestia rozwoju i wzmocnienia potęgi wojsk lądowych. Mimo to w końcu lat czterdziestych rozpoczęto w Związku Sowieckim prace projektowe nad nowymi lotniskowcami, którym jednak nie było dane wówczas powstać ze względu na wydarzenia w 1953 roku (śmierć Stalina i generalnie negatywny wpływ Nikity Chruszczowa na wiele kwestii związanych z planowaniem działań na polu przygotowań do ewentualnej obrony w kolejnej wojnie). W ten sposób przyszły sowiecki lotniskowiec musiał poczekać, i to parę dobrych dziesiątków lat, na swoje właściwe narodziny. Wspomniany N. Chruszczow był przeciwnikiem nadmiernej rozbudowy sowieckich konwencjonalnych sił zbrojnych na korzyść czynników atomowego odstraszania potencjalnego przeciwnika, co natychmiast ustawiło przyszły lotniskowiec sowiecki na pierwszym miejscu listy tematów do ska-

sowania. Trudno bowiem było oczekiwać, by w obliczu drastycznych cięć w budżecie obronnym na rok 1959, połączonych z redukcją stanu osobowego armii o 1,2 miliona oficerów i żołnierzy - zdecydowano się w Związku Sowieckim na działania związane z budową i eksploatacją lotniskowca. Nawet późniejsze odwołanie wspomnianych cięć nie zmieniło sytuacji. Rozbudowa sowieckich sił zbrojnych po 1960 roku potoczyła się w inną stronę, bowiem Chruszczow konsekwentnie pozostał przeciwny lotniskowcom pod sowiecką banderą wojenną.

Typ MOSKWA: pierwsze koty za płoty

Kiedy obalono Chruszczowa, na stanowisko Pierwszego Sekretarza KC sowieckiej partii komunistycznej wstąpił Leonid Breżniew. Odtąd zaczęła się rozbudowa sowieckiego potencjału militarnego. Wtedy właśnie, w 1962 roku, na pochylni stoczni Południowej im. Nosenki (zwanej Stocznia Nr 444) w Nikołajewie położono stępkę pod pierwszy „lotniskowiec” sowiecki.

Projekt okrętu nie był, niestety, wolny od wad. Żle rozwiązano kształt kadłuba, łącząc w nim ostry dziób niszczyciela z wielką i szeroką rufą sporego pojemnikowca; spowodowało to już na samym początku znaczną utratę dzielności morskiej i w rezultacie serię zakończono na dwóch okrętach. Jednostki te, znane jako Projekt nr 1123 Kondor, nie były w istocie lotniskowcami w zachodnim rozumieniu tego terminu, bowiem nie miały na swoich pokładach samolotów, lecz jedynie śmigłowce. Zaprojektowano je, jako tzw. krążowniki ZOP, czyli okręty, których głównym zadaniem miało być zwal-



czanie atomowych okrętów podwodnych przeciwnika, i w tym właśnie celu wyposażono je w cały szereg odpowiednich systemów elektroniki oraz broni ZOP. Każda z obu jednostek otrzymała po jednej podwójnej wyrzutni systemu SuW-N-1, zdolnej wystrzeliwać pociski FRAS-1 (wyposażone w 450-milimetrowe torpedy przeciw okrętom podwodnym lub w głowice atomowe o mocy pięciu kiloton), nadto po parze miotaczy pocisków głębinowych RBU 6000 i po dwa klasyczne, pięciururowe aparaty torpedowe kalibru 533 mm (21"). Dla obrony własnej okręty Projektu 1123 miały po dwie podwójne wyrzutnie przeciwlotniczych pocisków kierowanych SA-N-3 z zapasem 48 pocisków typu Goblet i po dwie podwójne wieże artyleryjskie z działkami plot. kalibru 57 mm. System sonarowy Mare Tail (Koński Ogon) o zmiennej głębokości holowania współdziałał z pokładowymi urządzeniami zainstalowanymi na przenoszonych przez oba okręty śmigłowcach Kamow Ka-25-PL Hormone-A. Liczba tych ostatnich sięgała na każdym okręcie 14 sztuk. Jeden śmigłowiec Kamow Ka-25-PS Hormone-C służył do ewentualnego ratowania ocalałych lotników, których maszyny uległyby awariom w powietrzu. Napęd każdego z okrętów stanowiły dwa zespoły turbin parowych o łącznej mocy po 100.000 KM, zasilane parą przez cztery wysokociśnieniowe kotły i zapewniające prędkość 30 węzłów.

Wejście ORŁA

Krażowniki typu Moskwa weszły do historii jako pierwsze sowieckie okręty wojenne przenoszące na pokładach grupy powietrzne złożone ze śmigłowców. Jednak okazało się, że nie są one w stanie służyć flocie jako klasyczne lotniskowce, to jest zapewnić jej osłonę własnych myśliwców w morzu. Wobec tego dowództwo sowieckiej marynarki wojennej zdecydowało się na następny krok: opracowało założenia dla kolejnego typu okrętu, mogącego przenosić zarówno śmigłowce, jak i normalne samoloty myśliwskie o stałych płatach nośnych. Powstał w rezultacie najambitniejszy dotąd sowiecki projekt jednostki tego rodzaju, oznaczony jako Projekt nr 1160 Oriol. Powrócono do niego po latach, przy pracach nad Projektem nr 1143.5.

Miał to być okręt o wyporności 80.000 ton i tzw. atomowym napędzie, przenoszący na pokładzie 70 konwencjonalnych (tzn. nie startujących ani pionowo, ani ze skróconego rozbiegu) samolotów. Maszyny te miały stanowić grupę powietrzną w stylu amerykańskim, zdolną wykonywać misje myśliwskie, loty rozpoznawcze i patrole

oraz atakować cele z powietrza. Lotniskowiec projektu 1160, gdyby powstał, różniłby się od współczesnych mu jednostek amerykańskich typową cechą wszystkich sowieckich okrętów wojennych - silnym uzbrojeniem raketowym do zwalczania celów morskich. Przeznaczenie Orła było jednak już bardzo podobne do roli lotniskowców amerykańskich. Niestety na projekcie się skończyło. Orzeł nigdy nie spłynął na wodę. W 1976 roku zmarł marszałek Greczko, uchodzący za znawcę spraw morskich i orędownika pełnowymiarowych lotniskowców, a tekę ministra obrony ZSRS objął marszałek Ustinow, który nie podzielał poglądów poprzednika. Część funkcjonariuszy sowieckiego Ministerstwa Obrony i sam Sztab tamtejszej Marynarki Wojennej optowali raczej za jednostkami mniejszymi, tańszymi w budowie i utrzymaniu, przenoszonymi na pokładach maszyny pionowego startu i lądowania. Ostatecznie, wstrzymując prace nad Orłem, zdecydowano się w Sztabie sowieckiej Marynarki Wojennej

ła być możliwość przenoszenia (obok śmigłowców) samolotów o stałych skrzydłach, startujących ze skróconego rozbiegu lub pionowo. Jego dość skromna grupa lotnicza składać się miała z 12 myśliwców Jak-38 Forger (Szantażysta), do 22 śmigłowców ZOP Ka-25PL Hormone-A, 1-2 śmigłowców rozpoznawczych Ka-25BT Hormone-B oraz 1-2 śmigłowców ratowniczych Ka-25PS Hormone-C. Po raz pierwszy w historii integralną częścią sowieckiej floty wojennej, działającej w morzu, miała stać się stała osłona powietrzna. Jak-38 okazał się jednak konstrukcją dość chybioną, a pokładowa grupa myśliwska była zbyt słaba liczebnie, by wypełnić to zadanie jak należy. Okręty projektu 1143 zostały silnie uzbrojone w artylerię lufową i pociski raketowe, zainstalowane w dziobowej części kadłuba i na wielkiej wyspie nadbudówki, umieszczonej tradycyjnie po prawej stronie pokładu startowego. Systemy raketowe okrętu obejmowały: dwie podwójne wyrzutnie pocisków SS-N-12 Sandbox (Piaskownica) z



na rozwiązanie kompromisowe. Tak zaczęła się historia kolejnego typu sowieckich lotniskowców...

Typ KIJEW: prawie normalne lotniskowce

Podczas gdy w Ministerstwie i Sztabie trwały boje o Orła, w zaciszu biur projektowych pracowano już nad kolejnym projektem sowieckiego lotniskowca. Oznaczono numerem 1143 i nazwą Kreczet. Główną cechą tego 40.000-tonowego okrętu o klasycznym, turbinowym napędzie, mia-

zapasem 16 pocisków, dwie podwójne wyrzutnie pocisków woda - powietrze SS-N-3 Goblet z zapasem 72 pocisków, a także wyrzutnie pocisków tej samej klasy SA-N-4 Gecko lub SA-N-9 (w zależności od okrętu). Do zwalczania okrętów podwodnych jednostki wyposażono w jedną podwójną wyrzutnię systemu SuW-N-1 do pocisków FRAS i dwa miotacze głębinowych pocisków RBU-6000.

Dwa okręty typu 1143 (Mińsk i Noworosyjsk) przydzielono do rozrastającej się sowieckiej Floty Pacyfiku. Rozrost owej floty i jej wyjście na szerokie wody w pierwszej

połowie lat osiemdziesiątych zaniepokoiło Zachód. Czwarty i ostatni okręt typu 1143 otrzymał nazwę Baku. Używano go w charakterze „królika doświadczalnego”, to jest jednostki eksperymentalnej do testowania nowych systemów elektroniki nawigacyjnej i bojowej. W efekcie okręt ten wszedł do służby ze sporym opóźnieniem. Zestaw wspomnianej elektroniki obejmował system radarowy 3D Sky Watch (Straż Nieba), testowany przed zainstalowaniem go na przyszłym Admirale Kuzniecowie. Problemy z systemem Sky Watch nie pozwoliły sztabowcom sowieckim w pełni rozwinąć skrzydeł i do maksimum wykorzystać tę skomplikowaną wojenną maszynę, jaką Baku mimo wszystko był. Już po wejściu do linii Baku został z przyczyn politycznych przemianowany na Admirala Gorszkowa i służył za platformę do testowania myśliwca pokładowego kolejnej generacji, Jak-141 Freestyle. Miał to być samolot pionowego startu i lądowania, lecz niestety prace nad nim zostały zawieszono po rozpadzie Związku Sowieckiego w 1992 roku. Sam okręt póki co ocalał, gdyż zainteresowało się nim dowództwo Marynarki Wojennej Indii, które widziało w Gorszkowie podstawowy lotniskowiec dla swoich zmodernizowanych morskich sił powietrznych. W nowej wersji okręt miał otrzymać 60 myśliwców MiG-29 Fulcrum-D. Jednostki Projektu 1143, w tym i zmodernizowany Baku/Gorszkow, napędzane były turbinami parowymi o łącznej mocy 200.000 KM, pracującymi na cztery śruby i zasilanymi parą z ośmiu wysokociśnieniowych kotłów. Okręty mogły rozwijać prędkość do 32 węzłów.

Ograniczenia budżetu rosyjskich sił zbrojnych, w tym i floty wojennej, spowodowały na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku wycofanie z linii najpierw Kijewa, potem zaś kolejno Mińska i Noworosyjska. Dawny Mińsk miał zostać przekształcony w coś w rodzaju (trochę mniejszej) Queen Mary w Chinach, zaś Noworosyjsk skończył swój morski żywot w 1997 roku pod palnikami południowokoreańskich złomowników. Pod koniec roku 2000 w swój ostatni rejs do chińskiej stoczni złomowej wyruszył na holu Kijew.

Bezrobotny ADMIRAL KUZNIECOW

Okręty Projektu 1143 Kreczet uważane były za rozwiązanie tymczasowe, które miało posłużyć do czasu zbudowania jednostek bardziej przystosowanych do wymagań nowoczesnej wojny morskiej. Niestety, wojenki „na górce”, toczone wokół Projektu 1160 i wciąż rosnące wpływy sztabowców przeciwnych budowie lotni-

skowców opóźniły dalszy rozwój tej klasy o dobrych kilkanaście lat. Budowa piątego okrętu typu Kijew, bardzo zbliżonego do czterech poprzedników, lecz wyposażonego w katapulty do wyrzucania w powietrze normalnych samolotów, zatwierdzona została w 1979 roku, lecz przeciwnicy lotniskowców wewnątrz sztabu sowieckiej marynarki wojennej w dalszym ciągu i skutecznie opóźniali prace. W 1981 roku sowiecki minister obrony, marszałek ZS D Ustinow obserwował z pokładu „wielkiego krążownika ZOP” (de facto lotniskow-

na pokładach normalne samoloty: odpowiednio przystosowane do operowania z pokładów myśliwce czwartej generacji, jak Su-27K (których oznaczenie zmieniono na Su-33), MiG-29K i inne, będące jeszcze w trakcie prac projektowych. Do szkolenia pilotów do służby na nowych lotniskowcach przeznaczono odpowiednio przygotowane maszyny typu Su-25. Okazało się, że Su-27/Su-33 bardziej sprawdziły się w nowej roli maszyn pokładowych, wobec czego całkowicie zrezygnowano z pokładowych MiGów-29. Te ostatnie wybrali natomiast



Fot. Archiwum Autora

ca) Kijew manewry wojskowe pod kryptonimem Zapad-81 i poznał wszystkie wady tego okrętu, a szczególnie niemożność zapewnienia przezeń flocie stałego wsparcia lotniczego. Właśnie to skłoniło wreszcie marszałka Ustinowa do poparcia prac nad nowym lotniskowcem sowieckim. Jednak wtedy akurat konstruktorzy w biurach dosłownie nie wiedzieli w co ręce włożyć, pracując nad kilkoma projektami równocześnie (od odkurzonego Projektu 1160 po spory lotniskowiec z rampą startową typu „skocznia narciarska”). Właśnie ten ostatni projekt, oznaczony jako 1143.5 Oriol, wybrano po wspomnianych już manewrach do realizacji.

Na Zachodzie spekulowano zrazu na temat nazwy nowego okrętu. Wypatrzył go na pochylni stoczniowej w Nikołajewie na Krymie szpiegowski satelita: raz miał to być Leonid Breżniew, kiedy indziej wspomniano o typie Sowietskij Sojuz lub Kreml. W Związku Sowieckim tymczasem postanowiono, że nowe okręty otrzymają po prostu nazwy dwóch wielkich miast, Tbilisi i Riga. Nazwy te jednak wkrótce postanowiono zmienić na Admirala Kuzniecowa i Wariaga - bowiem właśnie wtedy w obu miastach wybuchły zamieszki na tle aspiracji niepodległościowych Gruzinów i Łotyzy. Wszystko to jeszcze bardziej zaciemniło obraz sytuacji wokół nowych okrętów.

Tymczasem nowe jednostki były wielkie - wypierały po 65.000 ton i po raz pierwszy pod sowiecką banderą przenosić miały

Hindusi, dla których jest to podstawowy myśliwiec pokładowy. Pokład dziobowy Kuzniecowa wznosił się o 12 stopni do góry na kształt sławnej „skoczni”, ułatwiającej maszynom starty. Obok swej grupy powietrznej, lotniskowiec uzbrojony został w tuzin wyrzutni dla przeciwokrętowych pocisków typu SS-N-19 Shipwreck, przeciwlotniczych pocisków SA-N-9 Gauntlet, nadto w kombinowany, artyleryjsko-rakietowy system obrony bezpośredniej CADS-N-1 oraz w parę miotaczy rakietowych pocisków przeciw okrętom podwodnych RBU-12000. Nowy lotniskowiec otrzymał, podobnie jak starszy Admiral Gorszkow, radarowy system kontroli przestrzeni powietrznej SkyWatch 3D. Wodowanie Kuzniecowa nastąpiło w roku 1985, lecz wejście jednostki do służby opóźniło się wskutek znanych wydarzeń przełomu dwóch ostatnich dekad XX wieku tak, że ani w 1991, ani w 1995 okręt jeszcze nie wszedł do linii. Właściwie lotniskowiec ten nigdy nie rozpoczął swojej służby na serio, a ciągle nękają go rozmaite problemy. Wszystko to razem oznacza, że sztabowcy Marynarki Wojennej Rosji wciąż jeszcze szukają jakiegoś zajęcia dla bezrobotnego (!) lotniskowca, a sam Admiral Kuzniecowa rzadko kiedy wypływa z macierzystej bazy w Siewieromorsku. Napęd okrętu stanowią cztery zespoły turbin parowych o łącznej mocy 200.000 KM, zasilane parą przez osiem wysokociśnieniowych kotłów, które zapewniają mu prędkość 30 węzłów.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk

Wad morze o każdej porze

Powiat słupski znalazł się w gronie laureatów konkursu na najlepszą ofertę ekspozycyjną na XVII Targach Turystyki i Wypoczynku LATO 2012 w Warszawie

Tegoroczna edycja targów (odbyły się w dniach 20 - 22 kwietnia) zgromadziła rekordową liczbę wystawców - 420 z siedemnastu krajów. Imprezie towarzyszyły Targi Produktów Regionalnych „REGIONALIA”. Powiat słupski prezentował się na wspólnym stoisku z Agencją Promocji Regionalnej Ziemia Słupska Sp. z o.o. Oferta siedmiu wystawców na wspólnym, rozpoznawalnym stoisku województwa pomorskiego, koordynowanego przez Pomorską Regionalną Organizację Turystyczną zaowocowała zajęciem II miejsca w konkursie na Najlepszą ofertę ekspozycyjną polskiego regionu. Stworzyli ją: powiat słupski z APR Ziemia Słupska, LOT w Krynicy Morskiej, gminy Sztutowo i Stegna, Gdańska Organizacja Turystyczna, NORDA-LOT Stowarzyszenie Północnych Kaszub oraz organizatorzy - PROT w Gdańsku.

W uroczystym otwarciu targów uczestniczyli przedstawiciele rządu, parlamentu, lokalnych i regionalnych władz samorządowych oraz przedstawiciele kraju partnerskiego - Egiptu i branży turystycznej z kraju i zagranicy. Prezes Polskiej Organizacji Turystyki, Rafał Szymtke oraz prezes Polskiej Izby Turystyki, Jan Korsak nie ukrywali zadowolenia z rekordowej liczby wystawców. Życzyli wszystkim efektywnego dotarcia do potencjalnych klientów. Ceremonia otwarcia była również okazją do nagrodzenia tych, którzy zajmują się turystyką i działalnością charytatywną. Jednym z wyróżnionych był Władysław Rutkiewicz-Nikorowicz - właściciel Ośrodka Kolonijnego - „Pałac pod Bocianim Gniazdem” w gminie Potęgowo. Otrzymał medal za zasługi dla turystyki.

Stoisko PROT-u przygotowane pod hasłem „Pomorskie - Nabierz kolorów”, zachęcało do wypoczynku o każdej porze roku. Dzięki takiemu rozwiązaniu zostały szeroko zaprezentowane różne strony regionu pomorskiego, a ich przedstawiciele udzielali szczegółowych informacji. Atrakcyjna wizualizacja regionu słupskiego przykuwała uwagę odwiedzających,

ale nie odwracała od informacji o powiecie słupskim, której udzielali pracownicy Oddziału Promocji i Współpracy oraz APR Ziemia Słupska. Zaprezentowano różnorodne publikacje wydane z myślą o turystach, w tym m.in. folder „Turystyka aktywna na wsi”, w którym oprócz prezentacji produktów turystycznych, szlaków rowerowych, kajakowych i pieszych, atrakcyjnych miejsc i imprez, zainteresowani mogą znaleźć informację o bazie noclegowej na każdą kieszeń oraz o ciekawych miejscach do aktywnego wypoczynku. Dużo szczegółowych pytań dotyczyło ruchomych wydawnictw oraz kalendarza imprez. Dopytywano o „Krajinę w Kratę” i atrakcje w „Dolinie Charlotty”. Można było odnieść wrażenie, że prezentowana oferta wypoczynku zaspokoila najróżnorodniejsze oczekiwania odbiorców - zarówno amatorów piaszczystych plaż, zwolenników turystyki aktywnej i poszukiwaczy ciekawych przygód. Dla najmłodszych przygotowano gadżety promocyjne. Szeroki uśmiech wzbudzała powiatowa SOWA - obecna przez cały okres targów na ladzie stoiska i zachęcająca do odwiedzin powiatu słupskiego. Atrakcją dla dzieci była możliwość otrzymania gry planszowej „Wędrówki po powiecie słupskim”. Na stoisku znalazło się również miejsce dla ofert przedsiębiorców związanych z turystyką i wypoczynkiem.

Zainteresowanie turystów prezentowaną ofertą było

ogromne również dzięki dodatkowym atrakcjom, jakie przygotowali organizatorzy targów - piknikowi, występom artystycznym, konkursom z nagrodami i pokazom piłkarskim. Targom towarzyszyła piękna słoneczna pogoda, która również zachęcała do odwiedzenia stoisk. Degustacje kuchni regionalnych przyciągały uwagę wszystkich pokoleń. W tym roku najwięcej wśród odwiedzających targi było całych rodzin. Spotkać można było też m.in. znanych aktorów - Wojciecha Wysockiego czy Marcina Trońskiego.

Maria Matuszewska
Kierownik Oddziału
Promocji i Współpracy
w Starostwie
Powiatowym
w Słupsku





XVII TARGI TURYSTYKI I WYPOCZYNYKU
WARSZAWA, MARZEC 2012



Zdjęcia: M. Matuszewska, B. Wojtas

